



- 331 -

<http://rcin.org.pl>

OBRAZKI Z MOJEGO SĄSIEDZTWA.



ANTONIO MONTANO LIXA 1890

OBRAZKI

Z MOJEGO SĄSIEDZTWA.

Z NOTAT PANA ANTONIEGO

SPISAŁ

LEON KUNICKI.

INSTITUT
BADAN LINGWISTYCZNYCH
ul. Nowy Świat Nr 78
00-328, Warszawa
Tel. 26-58-03, 26-52-31 w. 42

WARSZAWA.

Nakładem **G. Sennewalda** Księgarza.
przy ulicy Miodowej Nr. 481 (4 nowy).

1872.



Дозволено Цензурою

Варшава 12 Іюня 1872 года.

Drukiem Józefa Ungra w Warszawie, Nowolipki Nr. 2406 (3).

1025/6
<http://rcin.org.pl>

W S T Ę P.

Jeżeli byśmy oceniali zaletę okolicy, po jej licznych i blizkich sąsiedztwach, to moja niezaprzeczenie zasługiwałaby na to przed innemi.

Sąsiedztw bowiem mam licznych i blizkich podostatkiem, rozmaitego rodzaju sytuacji i pozycji towarzyskich. Ztąd mozajka, różnaitość ludzi, charakterów i usposobień wielka, a jakże to rozliczne wady, słabostki i głupstwa w tych różnorodnych objawiają się charakterach! i mniej więcej skrycie, mniej więcej jawnie i dosadnie przedstawiają się

oku badacza obserwującego z boku, bezstronnie i uważnie całą komedję życia, odgrywającą się nieustannie na scenie tego olbrzymiego teatru jakim jest świat.

Powiedział ktoś, że byłoby bardzo smutno i monotownie na świecie, gdyby nie było głupstw, a wszyscy rozsądnie i dobrze postępowali, jest w tém po części i racja, chociaż nieraz tak jak jest byłoby bardzo śmiesznem, gdyby najczęściej nie było bardzo smutnem.

Szkoła ludzi jest jedną z nauk najtrudniejszych, ale zarazem najbardziej pouczających, urozmaiconych i zajmujących. Jedni tę naukę zbytnią wiarą w ludzi przypłacili upadkiem własnym i najsmutniejszym rozczarowaniem, drudzy studjując ją i analizując głupstwa, słabości i wady ludzkie, nader pouczające i korzystne w praktyce życia dla siebie potrafili wyprowadzić wnioski, dochodząc do przekonania, że wszyscy mniej więcej odgrywają rolę, starając się nie być sobą i kryjąc o ile można swe wady i ułomności.

A te wszystkie wady, słabości, głupstwa

i przywary tu na wsi objawiają się jawniej i dosadniej pomimo chęci ich ukrycia, bo ludzie na wsi żyjący, to na ich pochwałę powiedzieć można, są szczeri i otwarci, nawet w objawianiu swej nagannęj strony.

Samotność moja i niezależność, pozwalają mi więc bez przeszkody obserwować tę pulsa życia, jakimi tętni moja okolica, a dla własnej satysfakcyi, dla studjum nad ludźmi robię sobie notatki w mojem albumie i tam staram się portretować wiernie i bezstronnie moich sąsiadów i zbierać tę kolekcycę figur charakterystycznych, którą rozumie się w jak największej chowam tajemnicy.

Studjując wady i słabostki sąsiadów, to także z moich spostrzeżeń wyniosłem przekonanie, że wielu jest wezwanych, a mało wybranych, to jest że wiele jest sąsiedztw na pozór życzliwych i przyjaznych, a w gruncie bardzo niewiele prawdziwie dobrych, szczerych i przyjacielskich.

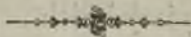
Chociaż na pozór stosunki wydają się nader przyjazne i szczerze, komunikują się z sobą

często i w oczy życzliwość okazują, dalekiem to jest wszakże od tej istotnej życzliwości, jaka prawdziwie dobre sąsiedztwo cechować zwykła.

To także jest pewnikiem, że im więcej jest sąsiedztw w okolicy i bliższych, tém więcej obłudy, nieszczerości, zawiści i złej komitywy ma miejsce.

Prawdziwie dobre sąsiedztwo, tak jak ja je pojmuję, to skarb nieoceniony, który pielęgnować i za który Panu Bogu dziękować potrzeba.

Od czasu do czasu odwiedzając moich sąsiadów i będąc przez nich nawiedzanym, mam sposobność coraz więcej ich poznawać, wszystkie ich wady i słabostki pomimo ich chęci ukrycia studjować, a przez to i ich portrety tém prawdziwszemi i podobniejszemi w mojem albumie uczynić.



PAN SĘDZIA I PANI SĘDZINA.

YAW SUDZIA I FANI KROKWA

I.

Jednym z najbliższych moich sąsiedztw, jest *Cicha wola*, rezydencya Państwa Sęstwa.

Tak jak od niepamiętnych czasów znam Państwa Sęstwa, tak też od tego czasu nie zmieniła się na jotę *Cicha wola* i jej mieszkańcy.

Ten sam tryb życia, też same sprzęty we dworze, nic z miejsca nie ruszone ani zmienione, można powiedzieć że życie *Cichej woli* i jej mieszkańcy zakonserwowali się w jednej niezmienionej od dawna formie, że zastygli, skryształizowali się w jednostajnej i nieprzebitej powłoce.

Rozumie się, że Pan Sędzia więcej tylko wyłysiał i utył, Pani Sędzina wyschła i po-

siwiała, lecz na jotę nie zmienili ani swych usposobień, ani trybu życia, ani wad i słabostek jakie mieli przed laty.

Chcąc zdefiniować Sędziego; jego wartość moralną, możnaby śmiało powiedzieć, że był mniej jak jednostką społeczeńską, bo był kompletnem zerem.

Wprawdzie nic złego o nim nie mówiono, niektórzy zwali go *pocziwym Sędzi-
skiem*, ale to chyba tylko dla tego, że źle nie zrobił, ale też i dobrze nikomu.

A jednakże jego stanowisko Sędziego, właśnie wkładało na niego obowiązki usług obywatelskich, jego zaś sytuacja majątkowa dostatnia stawiając go w pozycyi, że nie od nikogo nie potrzebował i że mu aż nadto wystarczyło na życie wygodne, nałogowe, nie mniejsze przedstawiało pole do przychodzenia drugim w pomoc i robienia dobrze, co jak wiadomo obowiązuje tych którym Opatrzność więcej udzieliła.

Urząd Sędziego pełnił on niedbale i o ile można wykręcał się od czynności, gdy mu to w czémkolwiek mogło przeszkodzić co do jednostajnego i egoistycznego trybu życia

i najmniejszego poświęcenia z siebie dla drugich nie czynił.

Z rad familijnych i kompromisów się wypraszał, na Kadencje zaś, które zawsze szumnie wygłaszał, jeździł tylko wówczas, gdy inny jaki miał do miasteczka interes.

W ówczas to długo przed tém, każdemu rozpowiadał pompatycznie, że go ważne urzędowe czekają zajęcia.

— Ka-den-cje, *panie tego* mi wy-pa-da-ją mówił zwykle powoli i z przestankami.

A tak jak mówił powoli, tak we wszystkim i w ruchach swych był powolnym, ociężałym i jakby ospałym.

Bo też rzeczywiście spał prawie ciągle.

Utrzymywano że to słabość, tak jednak nie było, bo jadał zwykle doskonale i wyglądał jak pączek w maśle. Najuroczystszą dlań chwilą był zaraz po obiedzie czas trawienia.

Pomiędzy pieczystém a leguminą przy stole zaczynała się pierwsza drzemka, potem po czarnej kawie i fajeczce w ulubionym fotelu w salonie, drzemka na dobre, następnie przy każdej pogawędce, przy muzyce gdy

słyszał, po każdej prawie przekąsce znowu drzemka.

Podczas Kadencyi przy sądzeniu sprawy, także go zwykle sen morzył.

Gdy woźny wnosił sprawę i monotonym głosem odczytywał wzajemne powodów pretensye, które iść miały pod pojednawcze rozstrzygnięcie Sędziego, już go ten głos monotony usypiał, po skończeniu więc wywodu sprawy, budził się, a nie rozumiejąc dobrze o co rzecz idzie bałamucił i powtarzał tylko:

— „Po-gódź-cie się, bo le-psza panie tego, x zło-ta zgo-da, jak pro-ces sło-mia-ny... to jest tego le-pszy pro-ces zło-ty, jak sło-mia-na zgo-da... to jest ten panie tego...

I gdy Paweł miał pretensje i likwidację szkód do Gawła, to Sędzia nie zrozumiawszy Pawłowi radził i nalegał aby Gawłowi zapłacił i aby go zaspokoił.

Pisarz sądowy dodawany zwykle do pomocy Sędziem, wyprowadzał go dopiero z błędu i rzecz tę prostował.

Rozumie się, że tak sądząc sprawy, a do tego rzadko kiedy na sądach bywając, nie

wiele udało mu się ich pogodzić przez dość długi czasu przeciąg piastowanego urzędu.

Cóż można powiedzieć o Pani Sędzinie?

Oto Pani Sędzina była nieodrodną małżonką Sędziego i można ją także było zredukować do zera w rzędzie kreacyi kobiecych.

Pasowali też do siebie doskonale, a to tylko na ich pochwałę powiedzieć można, że było to stadło nadzwyczaj zgodne i żadną sprzeczką najdrobniejszą, horyzontu małżeńskiego pożycia nie zamęczające.

Tak jak Sędzia, tak i Sędzina zwaną była przez niektórych *pocziwą Sędzinką*, ale również jak mąż jeżeli źle nikomu nie zrobiła, to dobrze tém bardziej.

Cicha, powolna, robiła bezustannie pończoszkę, kładła passjans z kart starych i zatłuszczonych, tryb życia wraz z mężem wiodła jednostajny, w niczem mu się nie sprzeciwiając, a wszystkie swoje uczucia, siły i starania skierowała do jednego, to jest do pieczy nad trzema pieskami kudłatemi pińczozkami *Żolką*, *Fadetką* i *Zefirkiem*, do których fantastycznie przywiązaną była.

Smieszna była ta jej pieczołowitość nad

psami, większa i staranniejsza, aniżeli nie jednéj kochającej matki nad swemi dziećmi.

Mówiono że przyczyną tego było, iż Sędziostwo dzieci nie mieli, być może, chociaż nie raz zdarzało mi się napotkać podobnego rodzaju dziwaczne do psów przywiązania i u osób liczném obdarzonych rodzeństwem.

Dla utrzymania sąsiedzkich stosunków, chociaż rzadko, ale bywam od czasu do czasu w Cichej woli, a każda moja wizyta i znalezienie się jej mieszkańców względem mnie, od dawna jednym i utartym a niezmiennym następuje trybem.

Wszedłszy z dużego ganku, poczerńiałego wiekiem dworu Cichej woli, do sieni cegłą wyłożonej, zastaję tam starego Mateusza sługę od lat dawnych Państwa Sęstwa.

— Są Państwo w domu? — zapytuje.

— *Ojoj a deż by buli, sidiat jak huby* — z uśmiechem otwierając bezzębne usta odpowiada zwykle po rusku Mateusz.

— A cóż tu u was słychać?

— *A szczoż nyc, wsio tak jak buło tak i je.*
 Wchodzę do tak zwanéj sali, w którój od nie-
 pamiętnych czasów wszystkie sprzęty stare
 i téż same na swojém stoją miejscu, a nic nie
 przybyło, ani ubyło. Tenże sam staroświecki
 zegar na kominku poważnym gdacze chodem,
 nad nim zapyłony sztych w ramkach przed-
 stawiający Napoleona I na koniu; meble stare
 z wypłowiałemi pokrowcami w tychże sa-
 mych stoją miejscach, na stole okrągłym
 lampa olejna i téż same co przed laty książki
 zblakłe i zbutwiałe, tradycyjny magazyn po-
 wszechny, który od lat 20 tam widzę.

W fotelu skórzanym pod oknem siedzi
 Sędzia i śpi.

Ważna to bo poobiedniego trawienia dlań
 chwila. Pani Sędzina w szaréj sukni i cze-
 peczku z żółtemi wstążkami (ubiór ten, ko-
 lor sukni i wstążek a nie inny od lat dawnych
 widzieć przywykłem) z pończoszką w ręku
 siedzi około kanapy przed małym stoliczkiem,
 na którym leży talja zatłuszczonych kart
 (miejsce jéj zwyczajne i ulubione). Przy jéj
 nogach na miękkich poduszczkach spoczy-
 wają pieski z czerwonemi wstążeczkami u szyi,
 nad niemi zaś z drugiej strony z wyciągniętą

ręką trzymając gałązkę lipową i opędzając nią muchy nad pieskami, na krzeselku siedzi wyprostowany stary *Malinowski*, figura nader charakterystyczna, rezydent, totumfacki od lat dawnych państwa Sęstwa, należący do tych typowych figur rezydentów dworskich, którzy już powoli znikają. Wysoki, chudy z wąsikami poczernionymi, wystającymi z pod orlego nosa, z gębą otwartą, oczami jakby zażawionymi, z czerwonymi obwódkami, o twarzy wcale nie intelligentnej, z brodą schowaną w czarny wysoki halstuch, ubrany w szaraczkową kapotę z której tylnej kieszeni wygląda gięty cybuszek z kutasikami, w nan-kinowych spodenkach podniesionych mocno, przez co czerwone cholewy butów stawały się widoczne — był on figurą zrosłą z domem od lat dawnych, do którego Sędziostwo tak się przyzwyczaili, jak do jakiegoś użytecznego sprzętu, którego nałogowo używać przywykli, on zaś za lichy kąt i strawę wdrożył się w to służalcze życie jak ów wół do jarzma.

Posługiwali się też nim we wszystkim nieustannie i do niego to można było najzupełniej zastosować:

„Macieju idź przynieś wody.

„Macieju rozpał ognisko.

„Męczył się Macieisko . . .“

Oprócz innych posług, głównym jego obowiązkiem wszakże, było doglądanie piesków, którym oto muchy opędzał, chodził z niemi parę razy na dzień na spacer i doglądał gdy Sędzina czém inném była zajęta.

Gdym wszedł, natychmiast ogromny powstał harmider i hałas szczekających piesków, które się pozrywały i mnie opadły. Nie kąsały wprawdzie, ale się wspinały i hałasowały na zabój.

Nie można było długo zrazu przyjść do słowa.

— Witam Sędzinę Dobr...

— A! Acana Dobr... Żolka a cicho,...

Fadetka pfe! — wołała Sędzina.

Niewiele to pomagało i ujadanie szło dalej swoim trybem zagłuszając to co mówiłem i co Sędzina zaczynała; próżne były tylko poruszenia ust tak moich jako też i bezzębnych Sędziny, której nic słyszeć i rozumieć nie mogłem.

Wreszcie po dobrej chwili, wrzawa stopniowo się uciszała i pieski za staraniem Ma-

lino wskiego powoli zaczęły na swoje miejsca powracać i na poduszczykach się układać.

Na wrzawę Sędzia rozumie się, rozbudził się, otworzywszy jedno oko, a ujrawszy mnie zrobił poruszenie kilkakrotne całą figurą w celu podniesienia się, lecz znowu opadł na fotel. Uprzedzając te jego chęci podbiegłem i wstrzymałem go w tych usiłowaniach, które widocznie z wielką forsą i niechętnie dopełniał, bo znać jeszcze nie przeszła ta ważna i stanowcza chwila poobiednego trawienia i drzemki.

— Jak się masz, ko-cha-ny panie tego — wyciągając rękę mówił jakby przez sen Sędzia, a oczy znów mu się kleić poczęły.

Usiadłem tak, aby być pomiędzy Sędzią i Sędzią. Rozmowa nasza szła bardzo kulawo i przerywanie.

— Cóż tam sły-chać panie tego?... rozbudziwszy się na chwilę zapytał Sędzia, poczem znów oczy zmrużył i zdawał się zasypiać.

— A nic tak ważnego — odrzekłem — drogę mamy popsutą deszczami, ale może przecież już teraz pogoda się ustali, a zdałaby się na sianożęcia...

Sędzia jakby przez sen ręką machnął w odpowiedzi.

— Wie Pan, mówiła Sędzina siedząc na swém zwykłym miejscu i robiąc prędko pończoszkę — że jak te długie słoty nastawać miały, to Zolkę trzęsło jak w febrze przez dni parę, biedactwo widocznie przeczuwało niepogodę. Malinosiu trzeba dziś się przejść z niemi na spacer, później nad wieczorem, bo uważałam że Zefirek za dużo jadł na obiad, boję się żeby mu to nie zaszkodziło.

— Dobrze *emptidieju* pani Sędzino — odrzekł rezydent machając gałązką nad psami.

— A wie Pan że mieliśmy tu niedawno wypadek, niezmiernie byłam przerażona...

— No cóż takiego? — zapytałem z przejęciem.

— Fadetka o mało co nogi nie złamała, kłoda się zwała w drewnutni jak zaczęła po drzewie łązić i przygniotła jej łapkę, ale to ja zawsze mówię, że to nieostrożność Malinosia, bo po co było pozwalać latać po drzewie?

— Ja temu *emptidieju*... nie winien i to jest ten... bo *emptidieju*... — tłumaczył się Rezydent.

— Bo to trzeba znać temperamenta tych kochanych stworzonek — mówiła dalej Sędzina. — Żolka to poczciwe, potulne, powolne, posłuszne, Zefirek już gorszy, złośliwszy ho ho! ale taki ma dobrą naturę, a Fadetka znów bardzo żywa, swawolna i kapryśna, na nią oko jak największe zawsze mieć potrzeba i zawsze to powtarzam Malinosiowi. Najczulsza z nich i najpoczciwsza to Żolka nie może znieść biedactwo fortepianu.

— Nerwowa — wtrąciłem.

— Oh i jak jeszcze, jak tu Panna Amelja zaczęła kiedyś grać, to tak wyła, że bałam się aby jej co nie zaszkodziło... Mój Malinosiu a powiedz ażeby dawali kawę i herbatę, bo już pora.

Widocznie uradowany tém chwilowem chociaż zwolnieniem z obowiązków oganiacza Malinowski, spiesznie wyszedł, Sędzina wyręczając go oganiała gałązką muchy nad śpiącemi i znów dalej mnie bawiła opisując zalety, śmiejąc się z wad swych ukochanych stworzonek, co już mało sto razy słyszałem, za każdą moją bytnością w Cichej woli.

— Śpią teraz spokojnie kochaneczki — mówiła, zwracając się i nachylając do nich --

ciekawam jak tam nóżka Fadetki, puchlina już zeszała, ale jeszcze biedactwo utyka i jest trochę inflammacyi, no! no! śpij kochanie—głaszcząc mówiła dalej pieszczotliwie, a drugi raz nie lataj tak aniołku, nie dokazuj pociecho moja...

— Gdy Mateusz zaczął wnosić szklanki i przyrzędy do kawy i herbaty, Sędzina na brzęk szklanek rozbudził się i głośném a kilkakrotném a! a! a! poziewaniem i wyciąganiem się, dawał znak że się już ważna poobiednia sjesta skończyła.

Niebawem nadszedł Malinowski, któremu Sędzina nieomieszkała zrobić wymówkę, że tak długo siedział.

— Pomagałem dmuchać *emptidieju* w samowar... — tłumaczył się rezydent zajmując znów z gałązką swe zwykle miejsce, chociaż domyśliłem się że skłamał, bo silna woń bakunu, która się rozeszła, świadczyła że nieborak chcąc skorzystać z téj krótkiej chwilki wolności, opalił się dorywczo fajeczki.

Pomiędzy przyborami do kawy i herbaty spojrzałem na cukiernicę, która była zamknięta i od której kluczyk Sędzina nosiła na sznurku na szyi, a spojrzałem dla tego, że

znaną mi była słabostka Sędziny do cukru, którego nadzwyczaj zawsze skąpiła.

Na expensa i wychód czego innego nie zwracała uwagi, jeden cukier był dla niej najdroższym i najcenniejszym produktem, którego wydzielała w dozach jak najwięcej homeopatycznych.

Szczęściem że Sędzia nie lubił słodkiej kawy i herbaty i w ogóle słodczy, pod tym więc względem w mężu nie miała przeciwnika, ależ za to domownicy i goście obchodzić się musieli nadzwyczaj małemi dozami.

Gdy gość jaki lubiący słodką kawę lub herbatę nie śmiejąc sięgnąć do cukiernicy albo o cukier poprosić, męszzał i męszzał w szklance dając delikatnie poznać że nie słodka, Sędzina udawała zrazu że się tego niedorozumiewa, a w końcu robiła uwagę.

— „Zapewne nie słodka, ale trzeba dobrze zamęszzać bo cukier zostaje się na spodzie.“

Dla piesków jednak tak skąpą nie była i te dostawały każde po kawałeczku przy zdarzonej sposobności, a nawet nieraz w nagrodę jakiejś zalety, którą w nich upatrzyła.

Mnie przy nalewaniu herbaty, którą wybrałem, dostał się mały kawałeczek, lecz że

nie lubiłem pić słodko, nie dopominałem się, a zresztą bardzo prędko i skwapliwie cukier-nica na klucz się zamknęła.

— Ma-li-no-siu przy-suń fo-tel — ozwał się Sędzia podnosząc się z trudem, poziewając i wyciągając.

Malinosio pośpieszył i fotel przysunął do stołu herbacianego i znów w dawnej swój usiadł pozycyi.

Sędzia zasiadł wygodnie, postawiono przed nim ogromną filiżankę fasonem i objętością różniącą się od innych i zabrał się do picia kawy, zajadając chciwie bułkę z masłem i szynką.

A podczas tego nie zadawał sobie wiele pracy w rozmowie, którą chciałem zawiązać o sąsiadach, o cenach produktów i o spodziewanych zbiorach.

Na wszystkie moje zdania, potakiwał, lub mruczał.

— „A tak! tak! panie tego, aha! hm.“ — i kawę z apetytem konsumował.

— Malinosiu wystudźno papkę, tylko dmuchaj dobrze i próbuj przed daniem czy nie gorąca — rozrobiwszy bułeczkę ze śmie-

tanką na miseczce i podając rezydentowi mówiła Sędzina.

Rezydent zaczął dmuchać i palcem mięsząć, a z pożądliwością spoglądał na jadlo, którego sam tknąć nie śmiał i widocznie czekał aż mu jego porcja wydzieloną zostanie.

Jakoż niebawem Sędzina wrzuciwszy w garnuszek od śmietanki malutki kawałeczki cukru, dolawszy resztki kawy z imbryczków, przez co zrobiła się jakaś brudno-szara mieszanina, ukroiła następnie kawałeczek bułeczki i to wszystko podsunęła w stronę Rezydenta.

Był to podwieczorek Malinowskiego, do którego wszakże nie prędzej przystąpił, aż nakarmił pieski które w spiesznem jedzeniu się wycigały, warczały na siebie i wzajem pokarm sobie odbierały.

Gdy wreszcie miał już zasiąść do swego podwieczorku Sędzia ozwał się.

— Ma-li-no-siu po-daj faj-kę.

— Znów więc powstał biedny Rezydent, poszedł po fajkę, nałożył tytoniem z pudełeczka stojącego na kominku, zrobił z papieru fidibus i podając fajkę zapalił.

Sędzia paląc fajkę znów oczy kleić zaczął, znów mu się na drzemkę zabierało.

A ja wyczerpawszy już wszelkie zasoby rozmowy, gdy Sędzia zasnął na dobre, a Sędzina znów wpadała na tor pochwał swych piesków, co mnie już i niecierpliwić zaczynało, posiedziawszy chwilę jeszcze, zacząłem się żegnać.

Sędzia jedno oko otworzył.

— A! już je-dziesz, no by-waj zdrów panie tego. . .

I znów robiąc daremne usiłowania do powstania, od czego go powstrzymałem rzekł wreszcie.

— Ma-li-no-siu wy-pro-wadź. . .

Rezydent ucieszony tą sposobnością, w sieni skwapliwie zapalił swoją fajeczkę cuchnącego bakunu, co widząc Mateusz przestrzegął go:

— *Ej panoczku znowu bude smerdyty i Imość bude kryczaty, bo szczoś dzisiakaj mnycho palite. . .*

— A i cóż *emptidieju*, kiedy za tą psią służbą człowiek *emptidieju*, nie może dobrze dwa razy pyknąć.

Z politowaniem spojrzełem na biednego

Rezydenta, a uściskawszy ze współczuciem jego rękę wsiadłem na bryczkę, gdy już ruszałem z miejsca usłyszałem w sieni głos Sędziny cienki i piskliwy:

Malinosiu!...

PAN FORTUNAT.

PAN FORTUNAT

II.

Ród z którego Pan Fortunat pochodził, pieczętujący się herbem *Puste pole*, należy jak wiadomo do bardzo starożytnych i skolligaconych z najpierwszemi w kraju naszym rodzinami. W Heraldyce oprócz tej wzmianki nie stoi zkąd migracja tego szczepu do nas napłynęła, to tylko pewno że się bardzo w ostatnich czasach rozrodzili i posiadając początkowo swe rodowe gniazda nader liczne po różnych stronach kraju, następnie w skutek nadzwyczajnego rozrodzenia się, zubożenia i niezgód, gniazda te porzucić musieli i rozproszyli się po świecie.

Jednym z takich gniazd w naszej okolicy, były od dawna *Trepezy*, które pozostawały jeszcze w posiadaniu Pana Fortunata, jedy-

nego tój starożytnój rodziny reprezentanta, a mego sąsiada i nawet jak sam się przyznawał dalekiego powinowatego.

Chociaż był moim dalekim powinowatym, chociaż go lubiłem, a raczej miałem dla niego szczere współczucie z przyczyny że nieszczęśliwe fatum przesładowało go na każdym kroku, to jednak z całą bezstronnością jego indywidualność skreślić tu zamierzyłem. Pan Fortunat posiadał dużo zalet wewnętrznych, ale też dużo a może jeszcze więcej przywar i narowów.

Za młodu, bo dziś liczył już lat około 40. Forcio obyczajem szlachty naszej uczyć się nie chciał, a będąc z natury hulaszczym, fortunkę swoją odłużył i zaszargał.

Dziś jeszcze odzywała się często ta naturka hulaszcza, ale już środki materyalne na to niezawsze pozwalały, bo był w ciągłych prawie finansowych kłopotach.

Są ludzie szczęśliwi którym wszystkie zamiary i przedsięwzięcia udają się jak z płatka i co zamyślą, co przedsięwiorą, to pewnie w najkorzystniejszych dla nich wypadach warunkach, są znowu przeciwnie tacy, którym od najważniejszych aż do najdrobniejszych

okoliczności najzupełniej się nie wie, których nieszczęsne fatum, Nemezys jakaś zdaje się na każdym ścigać kroku, którym zawsze wiatr w oczy, słowem którzy jak to mówią, ^v jeżeli palec włożą w śmietanę, to go jeszcze ^x i tam złamać mogą. Do tych ostatnich właśnie w całej pełni należał pan Fortunat.

Ciągle go więc spotykały zawody i wypadki szczególniejsze, które się drugim nie przytrafiały; interesa gospodarskie i pieniężne mu nie dopisywały, liczni wierzyciele, sekwestраторzy, komornicy i woźni ciągle go niepokoiли i kryć się i zmykać często przed niemi był zniewolony.

W skutek tych ciągłych spotykanych wypadków i oprymowania przez *niespokojny ród* jak nazywał wierzycieli, komorników i sekwestраторów, którzy najczęściej jak duch Banka wszelką chwilę rozrywki lub odetchnienia mu psuli i przerywali, pan Fortunat stał się lęklwym, bojaźliwym, a ta lęklwość odbijała się nawet w całej jego postaci, w wyrazie twarzy, który zawsze był zafrasowany i jakby wystraszony, jak również i w ruchach, które były niepewne i wahające.

Był to mężczyzna jak już mówiliśmy lat

około 40, wcale nie ładnych rysów twarzy, chociaż miał się za wielce przystojnego, wysoki, barczysty, pochyło się trzymający, wiecznie nie uczesany i z pierzami na głowie, w ubraniu w nieładzie i niestosującym się wcale do wymagań mody.

Ubranie jego było zawsze poplamione, wytarte, niepasujące do figury, rozpięte, chustka na szyi krzywo zawiązana, tasiemki zawsze wyglądały to z za kołnierza, to z pod kamizelki, cerę twarzy miał śniadą, ogorzałą i ospą zeszpeconą, a że rzadko kiedy się golił, więc jeszcze czarniej i nieporządniej wyglądał.

Erudyt z niego był nieszczególny; gdy coś mówił nie kleiło mu się widocznie i bardzo wiele zawsze w tém było wyrazów: „*to jest tego ten, na przykład, rozumie się*“ które mieszał z sobą i zastępował niemi myśl którą chciał wypowiedzieć.

Pisał nie ortograficznie i z trudnością mu było list jakiś lub kontrakt o sprzedaż skleić.

Pomimo téj swojej powierzchowności nie ciekawej i wcale nie obiecującej, posiadał serce niezmiernie kochliwe; byle spódniczka, jak to mówią już się zajmował, wzdychał

i oczy przewracał, a chociaż w tém był także bardzo a bardzo niefortunnym i chociaż wiele już razy doznawał zawodu od płci pięknej do której się adressował w zamiarach matrymonjalnych, pomimo to jednak wcale się nie zrażał, nie zniechęcał i nie rozczarowywał, słowem nie dawał jeszcze za wygraną.

A gdy tylko gratka się zdarzyła jakiej pohulanki, jakiej zabawy, to żyłka dawna wnet się odzywała i hulał i oddawał się z zapalem zabawie, którą najczęściej jakiś wypadek, jakieś ukazanie się lub gonitwa wierzy ciela lub komornika przerywały.

Miał jednakże i dobrą stronę pan Fortunat, a tą było dobre jego serce i ochota uczynności sąsiedzkiej, ochota mówię, bo gdyby mógł dużoby dobrego świadczyć, dobrym byłby i prawdziwie przyjacielskim sąsiadem, ale nie mając środków po temu, kończyło się na dobrych chęciach, a i to przecież coś znaczy w naszej egoistycznej epoce.

W Trepezach rzadko kiedy przesiadywał, a jeździł ciągle, bo mu nie dawano pokoju, czmychał z domu przed natrętnymi wierzy cielami do sąsiadów, krewniaków, lub do miasteczek gdzie go ciągnęło do bilardziku, za-

jazdu, cukierni, lecz gdzie musiał być bardzo ostrożnym i gdzie nie raz dostrzeżony i goniony przez wierzycieli uciekać musiał, kontent jeżeli mu się udało ocalić z pod zajęcia konie i nejtyczankę.

W Trepezach tylko parę tygodni wiosennych spokojnie mógł przepędzać, bo jak sam twierdził wówczas „zje diabła jeżeli któren z wierzycieli, komorników lub sekwestratorów potrafi do mnie się dostać.“ I rzeczywiście, samo położenie Trepez stosownie nazwanych, takzwykle niedostępne z przyczyny złych dróg, popsutych mostków i wiecznego błota, wówczas szczególnie, czyniło przystęp do nich niepodobnym bez narażania się nie tylko na ugrzęźnięcie, ale i na utopienie się.

Bardzo się ucieszył posłyszawszy w ostatnich czasach, że się pan Fortunat żeni.

Przyszła jego miała być moja znajoma i sąsiadka Panna Dorota, brzydka jak ciemna noc, już nie młoda, wysoka, chuda, koścista, nadzwyczaj energiczna i więcej w sobie

mająca męskiego i szorstkiego charakteru, aniżeli kobiecych właściwości, ale zawołana gospodyni i posiadająca wioskę wcale nie złą i intratną.

Uważałem więc że to partja dla pana Fortunata była bardzo stosowną a nawet korzystną pod dwoma względami: primo że biorąc osobę tak energiczną, potrafi go ona trochę w karbach utrzymać i hulankom i excessom kawalerskim koniec położyć; secundo, że fortunka jej dostatnia, może mu zapewnić byt o wiele spokojniejszy i nie tak jak obecnie kłopotliwy.

Uważałem więc to za wielką dla niego korzyść, że się sam zdecydował i jeszcze więcej, że się panna zdecydowała, boć prawdę powiedziec to pan Fortunat jak już wiemy, pomimo pretensyi do przystojności i pomimo kochliwego serca, bardzo mało, a nawet żadnego miru nie miał u płci pięknej, a przy jego obecnym stanie majątkowym i interesach kłopotliwych o świetniejszą partję trudno by mu było tentować.

Dowiedziałem się też równocześnie o niefortunnej jego wyprawie, którą odbył do swego majątnego wujaszka, a znanego sta-

rego skąpca, od którego spodziewał się pieniężnej pomocy w tak stanowczej i ważnej dla niego chwili wejścia w związki matrymonjalne, a o której to wyprawie dowiedziawszy się ze szczegółami, wspomnieć tu postanowiłem.

Chociaż dotąd panu Fortunatowi nie udało się od skąpego wujaszka złamanego otrzymać szeląga, pomimo częstych przymawiań się, a nie raz prośb i nalegań, to jednak zdawało mu się, że w obecnej przynajmniej okoliczności wstąpienia w śluby małżeńskie, wujaszek swe skąpstwo przełamie i przecież z datkiem, zasiłkiem jakimś pieniężnym wystąpi.

Z dobrą więc nadzieją wyruszył z domu pan Fortunat, a doznawszy rozmaitych w drodze wypadków, to jest, wywróciwszy się parę razy w błota, okula wiwszy konia i zgubiwszy kapciuch z tytoniem, gdy do tego wiatr z krupkami smagał go w same oczy, przez duże 4 mile, stanął w reszcie u celu swęj podróży, przed starém wałacém się domostwem swego wujaszka.

Zgłodniały niepospolicie, a znając obyczaj wujaszka że strasznie skąpił w jedzeniu

i żył nie wiedzieć po jakiemu, umizgnął się do starej Marty ochmistrzyni domu, i ta mu nareszcie cichaczem jakieś tam nie ciekawe jadło sporządziła, którem mógł cokolwiek głód zaspokoić.

Długo jeszcze musiał czekać i siedzieć w pierwszej ciemnej i wilgotnej izbie niby bawialnym pokoju, gdzie kilka stołków kulawych, stół o 3ch nogach, stara kanapa i lustro stłuczone, całe składały umeblowanie a wszystko to gęstą warstwą kurzu i pleśnią było pokryte, za nim go wujaszek kazał do swego sypialnego pokoju poprosić, z kąd prawie nie wychodził i po całych dniach w fotelu przesiadywał.

Już był dobry wieczór gdy pan Fortunat wszedł do Sanktuarjum wujaszka, składającego się z małej i brudnej izdebki kuframi zastawionej, z łóżkiem brudną pościelą zasłanem, do którego rzadko kogo stary skąpiec wpuszczał.

Był to starzec o pomarszczonej, zwiędłej i żółtej twarzy, z małemi ruchliwemi oczyma o czerwonych obwódkach, z nosem oślim i brodą wystającą, a w jego twarzy malowały się wybitnie skąpstwo chciwości i brak

wszelkich uczuć serca. Ubrany był w gruby wutowany, zabrudzony i dziurawy szlafrok z czapeczką na głowie nieokreślonego koloru z pod której wymykały się kosmyki siwiejących włosów.

Siedząc tak w fotelu skulony, z rękami wychudzonemi do szpon ptaka podobnemi, przypominał posąg Woltera stojący w Foyer Teatru Comédie Française w Paryżu.

Gdy wszedł pan Fortunat, syknął stary łapiąc się ręką za drugą rękę bo mu bóle jakiegoś artrytyczne zwykle dokuczały i skrzywił się.

Pan Fortunat pocałował go z pokorą w ramię, na co tenże z niechęcią i obojętnie odezwał się:

— Jak się masz? no siadaj...

Usiadłszy zaczął pan Fortunat chrząkać i chwila milczenia zapanowała, wreszcie stary zapytał:

— No a pocóżes przyjechał?

— To jest tego... przyjechałem odwiedzić.. ot naprzykład kochanego wujaszka... i zapytać o zdrowie... bo przedewszystkiem...

— O! o! o! — z niedowierzaniem machając ręką odrzekł stary — dziękuję, ot cią-

gle mi ten artrytyzm dokucza, no ale cóż więcej?

— A no... chciałem tego... to jest przede wszystkim... naturalnie... a po tém o błogosławieństwo prosić... bo naprzykład żenię się...

— Żenisz się? toć winszuję i błogosławie, a żona będzie miała posag?

— Et nie wielki i ot tego... bardzo mi trudno teraz z interessami niby ten... bo jak Wujaszek wie... kłopota mam ciągle i ten... nawet na porządne konkury naprzykład mi nie wystarcza...

Syknął znów stary i złapał się za rękę.

— Nie mam za co prawdę powiedziawszy... jakoby dom porządnie urządzić i ot tego niby wyekwipować się... — mówił dalej Pan Fortunat.

— Sss! — co raz więcej sykał i krzywił się stary i rzekł po chwili.

— A no! toż trzeba jakoś sobie radzić.

A kiedy niema zkaąd i tego... ja właśnie chciałem niby ten... z pokorną prośbą...

— Sss! aj aj aj! oto mi dokuczają ręce!.. więc powiadasz że będzie miała posag, a no!...

— Nie zupełnie to jest tego... trochę będzie naprzykład miała, ale ja... dla przyzwyczajenia... teraz nie mam i grosza...

— Sss! ou! puf, ajaj! — i krzywiąc się, a zginając się prawie do ziemi niby z bólu Wujaszek zaczął machać ręką i wyjąkał:

— Muszę się położyć, zawołaj Marty i sam idź spać, bo pewnie zanocujesz, ano to się jeszcze porozumiemy, może mi to odejdzie...

Te ostatnie słowa dodały otuchy i nadziei Panu Fortunatowi, powstał więc oddał dobranoc Wujowi chociaż jeszcze nie było późno, zawołał Marty i postanowił czekać jutro rana.

Przespawszy się jako tako w brudnej stancyjce gdy znów miał zamiar zobaczyć się z Wujem i czekał aż wstanie, weszła Marta niosąc starą jakąś uzdeczkę i trąbkę myśliwską z zielonym kutasem i podając to Panu Fortunatowi rzekła:

— Jegomość mówił że Pan zaraz pewno wyjedzie, a widzieć się dziś nie może, bo trochę słaby, więc życzy szczęśliwej drogi i ot *gościńca* przysyła.

Oczy duże zrobił Pan Fortunat, poczerwieniał i oburzył się: więc to miał być ów

prezent ślubny?! ów zasilek pieniężny na który tak rachował?! Obejrzawszy z gniewem owe dary, rzucił je z oburzeniem na ziemię i rzekł z gniewem:

— Dziękuję i tego... tegom się nigdy nie spodziewał...

Gdy Marta zdziwiona tém jego postępowaniem i gniewem odeszła, Pan Fortunat ujrzawszy przez okno jakiegoś fornała, zawołał go, a gdy ten wszedł, wskazywał na uzdę i trąbkę leżące na ziemi i rzekł sapiąc z oburzenia.

— Niech cię kaduk porwie i tego... weź to, daruję ci...

Fornal zdziwiony skłonił mu się do kolan i zabrawszy darowiznę tak niespodzianą, wyszedł, a Pan Fortunat sapiąc ze złości kazał natychmiast zaprzęgać i już nie widząc się z Wujem, a klnąc na czém świat stoi, odjechał.

A trzeba wiedzieć że miał ten niechwalibny zwyczaj, że klątwami szafował sownie tak w większych przeciwnościach i wydarzeniach jako i w pomniejszych; gdy mu coś np. na ziemię upadło gdy zapalka zgasła, gdy coś stłukł przez nieostrożność, natych-

miast sypał kłatwami: „a niech cię kaduk porwie!, a do sto tysięcy!...” i t. d.

Ponieważ ztamtąd niedaleko było do powiatowego miasteczka, a Pana Fortunata jak wiemy miasteczka ciągnęły pomimo niebezpieczeństw na jakie się od wierzycieli żydków narażał, nie mógł się tym razem oprzeć chęćce zajrzenia tam chociaż na chwilę. Jakoż przedsięwziąwszy wszelkie ostrożności, konie zostawiając w austeryi przed miastem, a sam oglądając się ostrożnie, ażeby gdzie wierzyciela nie spotkać podążył do głównego zajazdu gdzie był bilard i cukiernia, chcąc po nie miłym wrażeniu i zawodzie z Wujem, cokolwiek się rozerwać. Znalazłszy tam w zajeździe znajomych, grał z nimi w bilard, popijał anyżówkę i piwo Bawarskie i jakoś zły humor spędził z czoła.

Przed wieczorem gdy już miał wyjeżdżać, dowiedział się od faktorów że Wuj jego nagle i niebezpiecznie po jego wyjeździe zachorował, że po Doktora przysłano i że mało jest nadziei w utrzymaniu go przy życiu.

Posłyszawszy to, kłusem Pan Fortunat wybiegł z miasteczka, dopadł koni i kazał

pędzić do wioski Wuja, niby przez troskliwość, a w gruncie po to zapewne, że jeżeli Wujaszek nogi wyciągnie, to może mu się tam przecież jeżeli nie ze spadku, to co ze sprzętów i remanentów okroi.

I pędem wielkim pojechał, a w skutek śpiesznej jazdy raz jeden wywrócił, zawadził parę razy o pnie w lesie i o mało co nejtyczanki w kawałki nie połamał, a wiatr który był w oczy gdy jechał do miasteczka, znów się odwrócił i znowu go w same oczy sinagał wraz z deszczem i krupkami.

Gdy już za ciemna przybył do dworku Wuja, na wielkie swoje niezadowolenie zastał tam mnóstwo osób; wszystko to byli krewni Wujaszka, którzy na rozgłos o nagłej jego słabości zjechali się i pierwszą izbę tłumnie zalegali, szepcząc z sobą i spoglądając na drzwi zamknięte izdebki, gdzie leżał chory i gdzie Doktor podążył.

Krewni ci rozmaitej sytuacji i płci i wieku i młodzi i starzy i kobiety i mężczyźni, po największej części drobna szlachta, krzywo jakoś patrzyli na Pana Fortunata, który wzajem i na nich z ukosa spoglądał, a w ich twarzach nie było znać najmniejszego współ-

czucia dla chorego, a cel w jakim przybyli, aż nadto wybitnie w ich całych postaciach się uwydatniał.

Szeptali oni między sobą, podsłuchiwali po pod drzwiami, niektórzy się już kłócili w sieni i przed dworem o spadek i remanenta.

Gdy stara Marta przechodziła przez pokój, ciągle jęj zapytywania dawano.

— A co? jak tam?

Na co stara z widocznie złym humorem nic nie odpowiadała.

Pan Fortunat również zapytał jęj czy Jegomości nie lepiej?

Odpowiedziała tylko: „et!” z machnięciem ręki, które nie wiele objaśniało.

Nareszcie ukazał się Doktor wychodzący z izdebki chorego, obstąpili go zaraz tłumnie i zarzucili pytaniami.

— A co? jak tam? czy długo jeszcze pociągnie?

— Nie mam ja tu co robić — machając ręką mówił Doktor spoglądając ironicznie na tę hałastrę i nie robiąc dalszych objaśnień, wsiadł na bryczkę i odjechał.

Pan Fortunat siedział sobie z boku i czekał, w około niego szepty i niespokojne chodzenia i podsłuchiwania miały ciągle miejsce, nikt się do niego nie odzywał i on do nikogo, chociaż to wszystko byli niby jego krewniaczy jedni dobrze, inni mniej mu znajomi.

Szepty te i rozhowory z razu ciche, zaczęły się co raz głośniej objawiać, interesanci widocznie się zapominali.

— Złe widać, zadrze nogi dziś...

— A jak bez testamentu kichnie?

— To lepiej bo może by nam nic niezapisał, a tak pójdzie na działy.

— A jakże by to było, toż my jego najbliżsi?

— Po co *te* Ronczyńscy się tu najechali?

— Myszkują czy im się co złapać nie uda, ale figa im i Panowie bacność i uwaga! naprzód zamknąć wszystko, nie dawać, pilnować, aż opieczętuje sąd, bo zobaczycie że ta *harhandrja* poroznosi i rozkradnie wszystko, a patrzcie no co tu tego!"

Te i tym podobne rozmowy miały miejsce i gdy crescendo dochodziły do coraz głośniejszych, nagle drzwi się od przyległej izdebki otworzyły i skulony z oczyma błysz-

czącemi z sardonicznym uśmiechem, w szlafroku, ze świecą w jedném ręku, a grubym sękatym kijem w drugiem, ukazał się Wujaszek.

Wszyscy osłupieli, a on rzuciwszy na nich okiem i zająwszy się jeszcze bardziej, syczącym głosem zawołał:

— A to co za odpust, czy jarmark?! a wy tu poco? co to za zgraja? aha! — patrząc na przelękłego Pana Fortunata — i ty tu? to to wy tacy troskliwi o moje zdrowie, żeście przylecieli dzielić się łupem... jak stado kruków?! słyszałem ja tu wasze rozmowy gałgany... ja już zdrów wydobrałem ot na wasze nieszczęście, a drapichrusty! łajdaki!, trutnie! próżniaki!... poszli precz z mojego domu, won!! i to mówiąc zaczął grzmocić kijem kogo tylko napotkał.

Podobno Panu Fortunatowi jako najszczęśliwшему we wszelkich wypadkach, dostało się najwięcej. Zaczęto więc w nieładzie uciekać, powstał hałas i zamieszanie wielkie, rozumie się że Pan Fortunat czmychnął co prędzej do domu powtarzając swe klątwy: „a niechże cię kaduk porwie! niech cię jasności!...” i t. d.

I niebawem bryczki, wózki, drabinki, zaczęły się skwapliwie z dziedzińca rozjeżdżać, unosząc wystraszonych a niedoszłych spadkobierców, którzy powoli ochłaniając z tych niemiłych wrażeń, zaczęli wyprowadzać wnioski że choroba starego była mistyfikacją i tak na tém się niefortunna wyprawa Pana Fortunata skończyła.

W jakiś czas po powrocie z owęj niefortunnej wyprawy przybył do mnie pewnego dnia Pan Fortunat.

Uderzyły mnie na wstępie, strój jego odświętny, bo był we fraku (choć poły od niego były bardzo kuse i na jego figurę widocznie był za ciasny) i niezwykła staranność, a nawet pretensja tak w stroju jako i w układzie włosów i wąsów wiecznie zwykle rozczochranych i roztrzępionych. Nie obeszło się jednak bez tego, że guziczki na piersiach od koszuli były rozpięte, chustka na szyi nieco przekrzywiona i tasiemka z za kołnierza na kark mu spadała. Mina przy

tém jego była jakaś więcéj niż zwykle niepewna, chociaż dość uważna.

Po przywitaniu, gdyśmy usiedli i poczęstowałem go papierosem, zaczął chrząkać, kręcić się niespokojnie na krześle; widoczném było, że coś miał ważnego do zakommunikowania, czy jakąś prośbę do objawienia.

— Gdzieżes teraz bywał, sąsiedzie? — zapytałem niby nie wiedząc że wyjeżdżał do Wujaszka.

— At! jeździłem tego... to jest do krewniaka... ale niby o ten... powróciłem...

— Do Wujaszka zapewne? no cóż tam, nie ruszył przecież wspaniałomyślnością i kabzy nie rozwiązał?

— Et gdzie tam! — spluwając i widocznie z niechęcią o téj materyi wspominając, mówił Pan Fortunat.

— Ale, ale, słyszałem że się żenisz, niezmiernie się tém ucieszyłem, no i winszuję ci z całego serca — tu wyciągnąłem doń rękę, na którą on podał swoją jakoś wahajaco i odrzekł niepewnym głosem:

— Jeszcze to nie pewno... to jest tego ten... bo widzi kochany sąsiad naprzykład... jakby to powiedzieć?... ot ja z całym zaufa-

niem do was przyjechałem... jak do przyjaciela i tego... przecież jesteście moim tego?..

— Czyliż możesz wątpić?

— No! więc długo nie będę tego i ten... i ot tak z całą szczerością przyznam się wam... że co do ożenienia... naprzykład... zmieniłem projekt i myślę tego... uderzyć do Panny Jadwigi...

— Jakto do Panny Jadwigi, a Panna Dorota?

— E! to by mi lepiej pasowało — konfidencjonalnie i ciszej mówił Pan Fortunat — bo mi się tego ten... podoba naprzykład lepiej... i majątek...

— Ale czy Panna Jadwiga zgodziłaby się?

— Ano to też... że mam tego nadzieję i ten... i przyznam ci się kochany sąsiedzie że ona mnie ciągnie... ot tak patrzy jakoś uważałem mile na mnie naprzykład, już tam parę razy byłem... to i zaprasza i jakoś tego, i grzeczna nadzwyczaj i naprzykład widocznie że ma pociąg do mnie... więc prawdę powiedzieć chciałem spróbować i tego...

Znałem Pannę Jadwigę, była to Panna już niemłoda, ale dość majątna i dom przez

jéj ojca (bo matki nie miała) prowadzonym był na większą stopę, mieli trochę preten- syi do arystokracji okolicznej, więc nie zda- wało mi się to podobném i zrobiłem uwagę:

— Ale czy Pan Fortunat się nie mylisz?

— Otoż przecież nie głupim taki i tego... na pewnych podstawach ten tego... zresztą oprócz tego że sam widzę... to mi z boku mówiono naprzykład ot i ten sługi bąkają... że ona ma się ku mnie... więc kochany przy- jacielu jednéj tego... od ciebie ten przysłu- gi żądam, nie odmówisz?

— Skoro tylko będzie w méj mocy...

— Jedź ze mną tego i oświadczyć mnie naprzykład Ojcu a że ja ten tego, nie bardzo mowny prawdę *powiedziałszy*, to jak będzie ten tego potrzeba do Panny, to mi także... w oświadczeniach dopomożesz!

Wahałem się z razu, perswadowałem, bo mi się w żaden sposób nie wydawało mo- żliwém. Pan Fortunat jednak jak mnie zaczął prosić, nalegać, całować, zapewniając że on jest pewny swego i że wszelką ma nadzieję, pomyślałem sobie: „ha! dziwne są czasem gusta i usposobienia kobiece, kto tam nie raz odgadnie kaprysy ich serca?” zgodzi-

łem się wreszcie i wyruszyliśmy do Zaborowa.

Zastaliśmy Ojca i córkę w domu, a z gości nikogo, z czego niezmiernie rad był Pan Fortunat, mogąc swobodnie i bez przeszkody swe plany i zamiary oświadczyć skutecznie.

Ja udałem się do pokoju Ojca, Pan Fortunat zaś poszedł do bawialnych pokoi gdzie spodziewał się zastać swą bohdankę.

Po przywitaniu się z Panem Jacentym, który w szlafroku z fajeczką czytał jakąś książkę, po rozmowie wstępnej o rzeczach postronnych, wreszcie przystąpiłem *ad rem*, oświadczając cel mego z Panem Fortunatem przybycia i w jego imieniu zrobiłem zapytanie czy by Pan Jacenty nie miał nic przeciwko temu, jeżeliby Pan Fortunat o rękę Panny Jadwigi tentował?

Zaczerwienił się i zaperzył na razie, zwykle powolny i flegmatyczny Pan Jacenty i zaczął prędko:

— Co? co? on? — ale się wnet umitygował i hamując się, ruszając wszakże ramionami odrzekł:

— Nie wiem, nie wiem, ale wątpię, Jadwisia taka wybredna, niech on sobie jej za-

pyta, ja jej wolę zupełną pod tym względem zostawiłem, ale komu też to Boże, ale jemu!

— Więc mogę mu powiedzieć że Pan Dobrodziej nie ma nic przeciwko temu i że zupełnie na decyzji Panny Jadwigi poprzestaje? — chcąc swoje zrobić zapytałem.

— Ale tak, ale tak! ona najlepiej o tem zadecyduje, chociaż to dziwna rzecz!...

Gdym wszedł do salonu, w przyległym gabinecziku usłyszałem chrząkanie Pana Fortunata i głos jego, domyślałem że tam była i Panna Jadwiga.

Nie wchodziłem tam ale stanąłem z boku, zacząłem się przysłuchiwać i dostrzegłem zdaleka klęczącego Pana Fortunata i z trudnością jakającego się przed Panną Jadwigą, której ztamtąd dostrzedz nie mogłem.

— Ja to jest tego... nie umiem dobrze jakoś ten... wypowiedzieć co czuję naprzykład... ale Panna Jadwiga może być przekonaną... że serce moje i tego i życie moje i ten... na jej rozkazy... nie ma poświęcenia i tego naprzykład... ażebym dla Panny Jadwigi... ot nie ten i dla tego teraz ot... ze drżeniem zapytuję...

— O cóż to chodzi? — na wpół ze śmiechem było zapytanie Panny Jadwigi.

— Ano ja ja... kocham i tego Pannę Jadwigę i ... zapytuję ot naprzykład... czy mnie raczy uszczęśliwić i tego?...

Po tych wyrazach śmiech serdeczny Panny Jadwigi dał się słyszeć, ja sam za ledwie się od niego powstrzymywałem patrząc na pana Fortunata jak klęcząc zabawną miał minę, a w dodatku tasiemka z tyłu z za kołnierza mu wyglądała.

Pomimo ochoty do śmiechu, żal mi się go jednak zrobiło, a i sam dziwną w tym domu odgrywałem rolę, chcąc więc go odwieść od dalszych a niepodobnych do urzeczywistnienia zamiarów i na dłuższy śmiech i jego i siebie nie narażać, zbliżyłem się do drzwi i zacząłem mu dawać znaki ręką, aby do mnie przyszedł. Panna Jadwiga śmiała się ciągle, wreszcie mitygując się ozwała się.

— Bardzom wdzięczna Panu za ten zaszczyt, ale żal mi szczerze że muszę Panu stanowczo odmówić, bo najpewniej starą Panną zostanę — i znów śmiać się serdecznie zaczęła.

Śmiech ten wreszcie opamiętał go, i powstawszy a ujrzawszy mnie, zbliżył się do mnie.

Szepnąłem mu:

— Dajże pokój temu, to się na nic nie zdało, a mówiłem ci.

— A kaduk że wiedział! — zaperzony i jakby obalwaniony, z roztarganemi włosy odrzekł — no to jedźmy!...

Panna Jadwiga jeszcze śmiejąc się powstała, a ujrzawszy mnie rzekła:

— A! i Pan tu! nie widziałam.

Powitałem ją zakłopotany, ona jeszcze się śmiała w przestankach.

Pan Fortunat widocznie oburzony, zabierał się do wyjazdu i niepytając mnie zaczął się kłaniać obojętnie z pożegnaniem.

— Czekaj że jedziemy przecież razem, ja na twoim wózku — zrobiłem uwagę, a Panna Jadwiga ozwała się:

— No no! chociaż to tam małe nieporozumienie zaszło między mną a Panem Fortunatem, o czém i Pan musi wiedzieć, jednakże będziemy pomimo to nadal dobrimi przyjaciółmi, nieprawdaż?, *soyons amis Cin-*

na — to mówiąc wyciągnęła doń rękę, którą on jakoś niechętnie i wahająco uścisnął.

— Panowie się tak śpieszą, proszę jeszcze zostać, Papeczko przyjdzie zaraz zapewne.

Lecz Pan Fortunat nie czekając, nie dając mi się nawet pożegnać z Panem Jacentym, pociągnął mnie, wybiegł jak oparzony, siadł na bryczkę i odjechalismy.

— A widzisz Panie Fortunacie, mówiłem że się może mylisz i że się to na nic nie zda! poco to było się kompromitować, a i ja dziwnie się im przedstawiłem przez ciebie.

— Dziękuję ci sąsiedzie i tego i przepraszam — zafrasowany odrzekł Pan Fortunat — ale kaduk ich wiedział... byłem pewny że ona... ma się tego ku mnie... ale to widać wszystkie *sielmy* kobiety, jak tego... to niby ten a jak przyjdzie ten... to one tego i kwita.

-- A cóż teraz będzie z Panną Dorotą? — zapytałem.

— A bo ja wiem... trzeba będzie się do niej tego ten nawrócić.

— Ba! a jak się dowie o Pannie Jadwidge, to się będzie sierzcić.

— At! — zafrasowany machnąwszy ręką odrzekł i już w milczeniu smutny i skwaszony odwiózł mnie do domu i niebawem sam odjechał.

W kilka dni po tém, wracałem z powiatowego miasteczka a przejeżdżając przez wioskę Panny Doroty spoglądałem na dworek skromny o jednym kominie z ganeczkiem, czysty schludny stojący na dziedzińcyku z największą utrzymanym czystością i myślałem sobie, czy też Pan Fortunat się nawrócił do swój pierwszej narzeczonej tak jak mówił i czy ona się o tych nieszczęsnych oświadczeniach nie dowiedziała, a jeśli się dowiedziała, co ztąd wynikło?

Myśląc o tém spotkałem właśnie przed bramą Pana Fortunata, podążającego znać ku dworkowi.

— Staaliśmy, on zsiadł z bryczki, przybiegł do mnie i zaczął pół głosem:

— Jak to dobrze, że się spotykamy i tego... jadę tedy do Panny Doroty nawrócić się naprzykład... ale tego obawiam się...

bo przeczuwam że ona musiała się wszystkiego dowiedzieć... bo ta Kwaskowska co to jeździ tego ten z plotkami... już słyszę była w Zaborowie i zaraz tu przyjechała... to jej musiała tego o tém wytrąbić... otóż kochany sąsiedzie zrób mi jeszcze jedną tego ten łaskę i wstąp ze mną... oto naprzykład, to mi jakoś będzie tego raźniej... bo prawdę *powiedział*szy ja się boję trochę... jeżeli by się sierdziła to tego mi dopomożesz... wyperswadujesz i do przebaczenia ten tego... nakłonisz.

Dałem się więc namówić i zajechaliśmy przed dworek.

Pan Fortunat wystraszony i nieśmiały szedł za mną.

Z sionki małej lecz nadzwyczaj czystej weszliśmy na lewo do pierwszej izby dość dużej i widnej o trzech okienkach, na których w wazonikach stało geranjum i gdzie zawieszane były białe firaneczki. Na ścianach oprócz niewielkiego lustra wisiały w ramach czarnych sztychy, a raczej bohomazy jaskrawych barw, jakie zwykle Węgrzy wędrowni noszą. Meble tu stanowiły, duża szafa, kuferek kilimkiem pokryty, ko-

inoda serwetą czerwoną zasłana z filizankami i starym zegarem, kanapa stół okrągły i kilka krzesełek i skromnie to wyglądało bardzo i zakrawało na mieszkanie Ekonomskie lecz nadzwyczajna i drobiazgowa czystość przebijała w najdrobniejszej rzeczy i w każdym kąciuku:

W pokoju a raczej izbie tej nie było nikogo. Niebawem usłyszeliśmy głos donośny w drugiej czy trzeciej izbie chociaż drzwi były zamknięte i poznaliśmy głos Panny Doroty.

— A! ty klempo jakaś, *to ty howoryszszoś zabuła daty indykan isty*, a sama toś się należycie najadła, a ty ty! — i tym wyrazom towarzyszyło klapnięcie, które podziałało na panu Fortunacie jakby wstrząśnięcie iskry elektrycznej.

I następnie znów dało się słyszeć jój łajanie, ale z punktu już więcej oddalonego.

— O! źle Panna Dorota w złym ten tego — szepnął widocznie wystraszony Pan Fortunat.

Niebawem drzwi się otworzyły, na których stuknięcie drgnął mój towarzysz i weszła z pończoszką w ręku staruszka, matka

Panny Doroty, a ujrawszy nas, zimno nas jakoś powitała.

Na ucałowanie ręki przez Pana Fortunata, jakimś dość zimnym dygiem odpowiedziała.

Gdyśmy zasiedli znów bliżej głos Panny Doroty dał się słyszeć.

— Wuwdja — *a idy no i hlady, kogo to lichy prynesto?* bo widzę konie jakieś przed domem.

Pana Fortunata widocznie mrowie przeszło, przeczuwał coś niedobrego.

Gdy staruszka milczała, a ja myślałem od czego zacząć rozmowę, drzwi się z hałasem od drugiej izby otworzyły i w nich stanęła postać wysoka kobieca w czarnej poplamionej sukni, z fartuszkim i pękiem kluczów u pasa. Twarz suchą i kościstą obwiązaną miała chusteczką.

Gdy rzuciła na nas okiem a szczególnie na Pana Fortunata ten aż się ugjał biedak pod surowością i gniewem tego spojrzenia, tak ono było przenikliwem i strasznem.

Stojąc tak w wyzywającej postawie syczącym głosem ozwała się przeszywając wciąż wzrokiem Pana Fortunata.

— A Acan tu po co?

Pan Fortunat podążył ku niej zgarbiony, chcąc zapewne w rękę pocałować, na co ona zrobiła gest wstecz całą figurą, jak gdyby odpychając go od siebie.

— Pytam się po co Acan tu? — z mocą powtórzyła.

— A! witam Pana — rzekła do mnie łagodniej — ale Acan po jakiego licha tu przyjechał? — znów z gniewem zwracając się do Pana Fortunata zapytała.

— To jest ten tego... Panno Doroto Dobrodziejko... ot naprzykład...

— Do Zaborowa Acan ruszaj! — do Zaborowa! — krzyknęła, aż głos jej w dyszkant się cienki zamienił i podniosłszy rękę wskazała palcem w okno i w tej rozkazującej postawie chwilę pozostała dysząc od gniewu.

— Ależ Dorciu kochanie — szepnęła starszka podsuwając się do niej — bądź że grzeczna w swoim domu.

— Co mnie tam Mama będzie uczyć przyzwoitości, czy to ja smarkata czy co? niech Mama sobie to schowa dla siebie, ja *wim* dla kogo mam być grzeczna, a dla kogo *ni*, może dla tego... dla tego — tu wzgar-

dliwie głową potrząsała, patrząc na Pana Fortunata, — dla tego bałamuta... wiarołomecy, nieponia, co mnie zdurzył, co już był po przyrzeczeniu i com mu jak głupia zawierzyła, a potem pojechał oświadczać się do Zaborowa?!

— Ależ Panno Doroto...—bąkał Pan Fortunat — to jest tego ja przepraszam i tego...

— Precz mi ztąd — znów wrzasnęła — cofam moje słowo, nie *jezdem* narzeczoną i wolę pójść za *Okomona*, Pisarza, Gajowego, niż za takiego, takiego oszukańca...

— Pan Fortunat — rzekłem — rachuje na dobre serce Pani że się da przebłagać, bo zaszło pewne nieporozumienie.

— Aha prawda była, a i Pan mu pomagał oświadczać się, ale ja do Pana nie mam pretensyi, bo on nałgał Panu pewnie inaczéj i niech go Pan nie broni, bo on tego nie wart, już skończono między nami i niechęć i niechęć i wynoś mi się Acan z mojego domu, kwita z przyjaźni i znajomości, — i otworzywszy drzwi od sieni, rozkazującym gestem wskazała je Panu Fortunatowi.

Nie było rady Pan Fortunat ze spuszczoną głową jak delikwent wyszedł oglądając się

na mnie błagalnie. Ja pozostałem jeszcze chwilę próbując czy się Panna Dorota udobruchać i przeprosić nie da, ale daremne były moje usiłowania; była niewzruszoną, a jej gniew i oburzenie na Pana Fortunata wzmagały się tylko, gdym więcej o niego nalegał.

Nie było rady, pożegnałem więc kobiety i odjechałem. Za bramą w nejtyczance, czekał na mnie zafrasowany i klnący Pan Fortunat.

— Nie dała się przeprosić, jeszcze nalegałem na nią po twojem wyjściu — rzekłem.

— No to i mniejsza, niech ją kaduk porwie — odrzekł z determinacją — może to i lepiej że tego ten... takiego kozaka nie biorę, a to naprzykład Herod baba!.. aż strach tego ten na nią spojrzeć... dziękuję ci kochany Sąsiedzie... za tego twoje dla mnie dowody i ten... pomoc.

— Nie ma za co — odrzekłem rozjeżdżając się.

I rzeczywiście że nie było za co kiedy wszystko poszło tak niefortunnie.

PREFERANS NAŁOGOWY
U PANI PREZESOWEJ.

THE LIBRARY OF THE
UNIVERSITY OF TORONTO

III.

Na wielkim świecie, w Warszawie i w prowincjach więcej ucywilizowanych, słyszałem że w rzędzie gier karcianych, królują obecnie i są w powszechném użyciu *Beziki*, *Ramsz*, *Patki* i *Bóg* wie jeszcze jakieś nazwiska, których w tej chwili niepomnę, w naszej zaś okolicy ustronnej oddalonej od ognisk oświaty, od miast większych i kolei żelaznych, gry te jeszcze wraz z cywilizacją nie zawitały, a natomiast stary wist i *Preferans* również nie młody, na dobre są w użyciu. Wprawdzie gdzieniegdzie już z nowemi dodatkami są praktykowane jak np: *Preferans z kureczką*, *z kotłem*, jednakże po największej części w dawniej formie się uchowały i tak *Wist z atutem kajenną*, *Je-*

ryłasz i Preferans stary bez żadnych renowacyi i podnoszenia rachunku, najwięcej są w użyciu.

I są domy gdzie mianowicie Preferans, po nader niskiej cenie, absorbuje większą część czasu, któryby mógł być użytym na coś pożyteczniejszego, są tak zwane *familijne partyjki*, gdzie w braku gości, gospodarz, gospodyni, ciocia lub rezydent po 20 punktów na grosz grają na zabój po całych dniach i wieczorach, a grają z takim zajęciem i zapałem, jak gdyby chodziło o życie, w innych zaś domach najmniejsze zebranie towarzyskie nie obejdzie się, ażeby najpierwszym warunkiem zabawy nie były karty i gra po większej lub mniejszej cenie.

Niektórzy z sąsiadów moich zapalonych do gry, zaniedbując zajęcia gospodarskie i ważne nieraz interessa, uganiają się za Preferansem, łapią jeden drugiego, zbierają się i czas trawią na grze, która nietylko im pożytku dla serca i kieszeni nie przynosi, ale najczęściej stratę znaczną czasu, zdrowia i kieszeni powoduje.

Nietylko pomiędzy mężczyznami są tak zawzięci gry amatorowie, ale są i kobiety

w mojej okolicy które passjonowanie grze się oddają.

Do rzędu tak passjonowanych do Preferansa szczególnie, lecz bez żadnych renowacyi, należała *Pani Prezesowa z Podrybia*.

Była to staruszka dobra i sympatyczna.

Mała, chuda, wyschła, cokolwiek ułomna, nadzwyczaj żywa, ruchliwa i zawsze roztargniona, miała oprócz zamiłowania do Preferansa, passyjkę swatania w okolicy.

Wdowa od lat dawnych, dość dobrej sytuacji majątkowej, prowadziła w Podrybiu dom przyzwoity, mając przy sobie Tercię daleką swą krewną ubogą dziewczynę, ale bardzo ładną która jej domem zarządzała i do której Prezesowa bardzo się przywiązała.

Wskutek tego zamiłowania do Preferansa dwa dni w tygodniu to jest wtorek i sobota przeznaczone były na zebranie najbliższych i najlepszych jak nazywała przyjaciół, a mianowicie *Konsyljarza*, *Radcę* i *Pana Atanazego* zwanego inaczéj *Kapitanem*, którzy punktualnie o godzinie 7-éj wieczorem się zjeżdżali, pomimo nieraz ślot i dróg najgorszych i stanowiąc z gospodynią domu

czwórkę do partyjki, nałogowego Preferansa po pół grosza klepali. Porządku tego nie zmienić niemogło, obcy nawet gdy wówczas nadszedł, to ani gospodyni ani nikt, miejsca mu swego nieustępował i graswoim trybem iść musiała z odwiecznie jednemi i niezmiennemi zasadami.

Czasem lecz to rzadko się zdarzało, że zbrakło Doktora, który musiał jechać do chorych i wówczas pozostała trójka zasiadała do gry, ale już się widocznie zabawa nie kleiła, bez Konsyljarza było im jak bez ręki, smutnieli i nieukontentowani wieczór spędzali.

Bywając w Podrybiu, starałem się zawsze przyjeżdżać w jeden z tych dni Preferansowych i chociaż sam nie grałem, a tylko przypatrywałem się, tom się zawsze szczerze ubawił śledząc uważnie tę czwórkę ludzi tak odrębnych charakterów, usposobień, te ich swary i sprzeczki i ich wzajemne względem siebie znalezienie się.

W jeden z tych dni uprzywilejowanych, przybywszy do Podrybia około godziny 6-ej

wieczorem, w saloniku gustownie umeblowanym i czystym, w którym paliło się na kominku, zastałem Prezesowę już wystrojona, chodzącą niespokojnie po pokoju i widocznie na swych gości wyczekującą.

Ubrana była w szarą materjalną suknię z dużym tureckim szalem na plecach z jedną łopatką mocno wystającą, z kąd szal często się usuwał, ona zaś niecierpliwym ruchem ciągle go naciągała, w świeżym czepeczku na głowie, z lokami bujnemi trzęsącemi się około wywiędłej i bezzębnej twarzy, w czystym i białym jak śnieg kołnierzyku haftowanym i takichże mankietkach, otaczających zeszlę ręce mnóstwem pierścionków na palcach ozdobionych.

Pod oknem na krzeselku siedziała Terka zajęta jakąś robótką. Dziewczę lat 18 ślicznej powierzchowności, o figurce zgrabnej jakby toczonej w kraciastej i gustownej sukience, o twarzy pełnej wyrazu, oczach dużych niebieskich melancholijnie jakoś na świat patrzących, z dużemi, bujnemi blond włosami, które zdawały się ciężyc na tej pięknej główce.

Niedaleko kominka ku środkowi saloniku już stał stolik zielony z dwiema niezapałonemi świecami, z nowiuteńkiemi kartami i kredkami zatemperowanemi; cztery krzeselka nawet już były dla 4-ch graczy przystawione, słowem pole do Preferansowej szermierki już było gotowe, nęcąc świeżością przyrządów i świeżą a żywą barwą zielonego sukna na stole.

— A! myślałam że to moi Preferansowi, chi! chi! chi!... — naciągając szal i podając mi rękę mówiła Prezesowa — a to Pan, a bardzom rada bo też już dawno chi! chi! chi! nie byłeś, ale niezastanowiłam się że to na nich jeszcze zawczasie, o! szósta dopiero — wskazując na zegar w rogu stojący który godzinę wybijał mówiła dalej — ale zobaczysz Pan że o 7-jej punkt wszyscy jak wyrosli chi! chi! chi!...

Po ucałowaniu ręki Prezesowej i powitaniu Panny Teresy w której wzroku, jakiś większy niż zwykle odcień tęsknoty dostrzegłem, usiedliśmy na kanapce niedaleko kominka, a Prezesowa nie dając mi mówić,

ciągle prawie sama recytowała, nasuwając co moment nieposłuszny szal na ramię.

— No no, co tam słychać nie wie Pan jakiej ploteczki? bo to ja to lubię chi! chi! chi!, kto się tam żeni, rozwodzi, przeniewierza?...

— Nie wiem Pani bo...

— Jak się tam ma poczciwa Referendarzowa, bo to niedaleko siebie mieszkacie, a wiem że była niezdrowa?

— Któż to taki?

— A no żona Radcy Korzyńskiego.

— A! Radczyni! — poprawiłem.

— Prawda co bo ja gadam chi! chi! chi!, ja ją nazywam po dawnemu Referendarzową a męża Radcą, ale bo prawda że on z Referendarza postąpił na Radcę Stanu, a ja przywykłam zawsze nazywać ich po dawnemu Referendarzami... cóż droga zła, już zapewne rozpuściło? ale oni przyjadą, ho! oto jestem spokojna chi! chi! chi!... moja Terciu a czy tam upiekli ciastek i bułeczek do herbaty, bo to wiesz jak Pan Atanazy lubi te bułeczki chi! chi! chi!, dowiedz się czy się udały?

Uważałem że Terka często w okno spoglądała, jak gdyby kogoś tam dopatrzeć chciała; na to wezwanie babci jak nazywała Prezesową, spojrzała raz jeszcze, powstała i wyszła.

Prezesowa mówiła dalej nieco zniżonym głosem i konfidencjonalnie.

— A my tu kojarzym, kojarzym i mam nadzieję że z tego co będzie... Tercię chcę wydać za Atanazego chi! chi! chi!, to dla niej los nieprawdaż;? no trochę wiek nierówny, ale to człowiek jeszcze nie stary i przystojny chi! chi! chi! a i majątny...

— Idzie oto zapewne czy Panna Teressa go kocha — wtrąciłem.

— Nie mogę się jeszcze dowiedzieć, ale zdaje się że on jej się podoba; choć to tam z wami bałamutami niema co w wielkie czułości i romanse się wdawać chi! chi! chi!, ale dla Terki jak mówiłam to los, a człowiek dobry, trochę flegmatyk no ale to lepiej, będzie go mogła lepiej za nos wodzić chi! chi! chi!, zawsze będzie miała z niego dobrego i porządnego a statecznego już męża... a niewie Pan co się tam z Panią Onufrową dzieje!; ale, ale, a Leoś co Leoś robi?;

nie był tu u mnie już dawno, mieliśmy je-
chać do Panny Pelagii, miałam mu poma-
gać i coś go nie widać.

— Nie widziałem go oddawna...

— Wartoby jeszcze wie Pan, Zosię
Krzyńską wyswatać, szkoda Panny lata bie-
gną starzeje się, brzydnie chi! chi! chi!...
ale czemu to Albin się nie rusza, to Pański
krewny, a jemu także czas, bo już faworyty
chi! chi! chi! siwieć zaczynają?

— On bardzo trudny do tego...

— To nic, niech mu Pan powie żeby tu
przyjechał, to ja jego rozruszam i wyswa-
tam, a mam dla niego niedaleko ztąd jagód-
kę chi! chi! chi!...

Skłoniłem się za dobre chęci w imie-
niu mego krewniaka.

Podczas dalszej rozmowy, a raczej dal-
szego trzepotania się Prezesowej powróciła
Terka oświadczając że bułeczki i ciastka wy-
bornie się udały, za nią wniesiono światło,
ona zaś zajęła swe dawne miejsce pod oknem,
a wsparłszy główkę na rękę zdawała się
w smutnej pogrążoną być zadumie.

Gdy tak ciągle Prezesowa przeskakując
z przedmiotu na przedmiot bawiła mnie

i naciągała co moment szal nieposłuszny, uderzyła godzina 7-ma, a prawie z ostatniem uderzeniem zegaru, zaturkotało przed domem, raz, niebawem drugi i trzeci jakby na komendę.

Prezesowa podskoczyła a naciągając szal zawołała.

— A co? jacy punktualni, ręczę że żadnego brakować niebędzie chi! chi! chi!...

Jakoż niebawem drzwi się otworzyły i prawie jeden za drugim wchodzić zaczęli do salonu spodziewani goście.

Naprzód wszedł *Radca*, w czarnym fraku wysoki, szczupły, łysy, w okularach, o twarzy zwiędłej zmarszczkami przedwcześnie pooranej, której wyraz był jakiś zniechęcony i skwaszony, brwi podniesione do góry i głowa zadarta; około ust od nosa ku brodzie zniżały się dwie fałdy, czyli bruzdy, które właśnie uwydatniały ten w twarzy wyraz znudzenia i nieukontentowanie jaki się zwykło widzieć u śledzienników.

Za nim wsunęła się mała ruchliwa figurka *Konsyljarza* w okularach średniego wieku, także łysego, w długim opiętym szaraczkowym surducie. W oczach jego ruchliwych

choć przez okulary, malowała się żywość jak również i w ruchach, w twarzy zaś wyraz dość łagodny i sympatyczny.

Trzecią figurą najpowolniej kroczącą, był wysoki otyły *Pan Atanazy* pretendent do ręki Panny Teresy, widocznie stary kawaler, o twarzy puciołowatej pełnej zdrowia i dużym czarnym zawieszistym wąsem i potężnym podbródkiem, ubrany nadzwyczaj starannie we fraku. A każdy włoszek na jego wyłysiałej głowie zdawał się być pracowicie ułożony, jak również wąsy kruczy mające połysk, bielizna na nim śnieżnej białości, kołnierzyki stojące i gors od koszuli mocno nakrochmalone. Znać było w jego twarzy pewną ociężałość jak również w oczach jakby przymglonych, a w ruchach powolność, niezwykłą u ludzi którzy wojskowo służyli...

Zaczęły się przywitania i każdy z gości ucałował kolejno rękę Prezesowej, która mizdrząc się i chichotając pytała:

— Powiedźcie mi prawdę, czyście razem na jednej bryczce, czy każdy osobno przyjechali?, bo taka punktualność to do pochwalenia chi! chi! chi!

— *To dobrze* — odrzekł Konsyljarz zacierając ręce — osobno, każdy osobno Mościa Dobrodziejko, pokazuje się że zegarki nasze dobrze idą.

Pan Atanazy powolnie poszedł do Pauny Teressy której dwaj pierwsi zdaleka się ukłonili, pocałował ją w rękę i usiadłszy przy niej, zaczął jej coś nosowym głosem mówić przerywając często chrząkaniem, ucieraniem nosa i śmiechem powolnym he! he! he!

Radca zasiadł wygodnie w fotelu przed kominkiem, nogę na nogę założywszy, podparł się ręką i patrząc w płomień nic nie mówił.

Konsyljarz stanął tyłem przed ogniem i zacierając ręce zaczął:

— *To dobrze*, a co to za droga, co za trepezy!!

Trzeba wiedzieć że to jego przysłowie: *to dobrze*, używanem było przez niego nieustannie i tak w złej jak dobrej okoliczności. Gdy badał chorego i ten mu najboleśniej opisywał przypadłości swęj choroby, mówił: *to dobrze*, gdy język oglądał i brał za puls, chociaż te były w stanie niepożądanym mówił: *to dobrze*. Kiedyś gdy

do pacjenta przyjechał który umarł, gdy mu to oświadczone, rzekł: „*to dobrze!*” a o której godzinie skończył?

Był to jednak zdolny, trafny i szczęśliwy w leczeniu Doktor, któregośmy bardzo cenili, kochali i szanowali w okolicy.

Na to wyrzekanie Doktora na drogi Prezesowa ozwała się:

— A to temu Radcaś winien, od czegoż Radca, powinienes się tém zająć żeby drogi w Powiecie były lepsze chi! chi! chi!

Uśmiech ironiczny zaigrał na twarzy Radcy i odrzekł:

— Co Pani Prezesowa plecie?, a cóż mnie to do tego, ja Radca nie od dróg, a Radca Towarzystwa Kredytowego!

— A prawda chi! chi! chi!, zapomniałam.”

— Nie długo to rzeczywiście — mówił znów Radca, kroku z domu zrobić nie będzie można, albo to ta administracja drogowa co dba... dziś to słowo daję tak jestem roztrzęsiony, myślałem że Miserere dostanę!

— *To dobrze*, ale wicie Państwo, że o mało co mnie nie zabrali do chorego i dziś zaraz w nocy po partyjce jechać muszę, choć

wiem że niewielkie rzeczy i alarm tylko próżny.

— A któż chory? Janowa? Teofila? bo się spodziewała już... chi! chi! chi! — zapytała ciekawie Prezesowa.

— *To dobrze*, Wilczewski przysłał po mnie bo się pewnie znów obiadł, obiada się a potem stęka.

— Ale ale Konsyljarzu zobacz no u mnie język chi! chi! chi!, bo i ja coś niedomagam, ot masz! — to mówiąc wysadziła mały czerwony jęczeczek.

— *To dobrze*, a cóż Pani Prezesowej?

— Mam zgagę i ciężkość głowy chi! chi! chi!...

— *To dobrze* — biorąc ją za puls i patrząc na zegarek mówił Doktor — et to nic, Magnezyi łyżeczkę zażyć i basta.

No gramy dziś czy nie? — ozwał się kwaśno Radca.

— A no chodźmy, prawda że szkoda czasu chi! chi! chi! — naciągając szal i żwawo podchodząc do stolika mówiła staruszka.

No! chodźże Atanazy prędzej! ah co to za marudztwo, nie wyguzdrają się dziś z tą partją — narzekał Radca. Pan Atanazy po-

wstał zbliżył się powoli do stolika i zaczęli wybierać karty, gdzie kto miał siedzieć.

— E! już to dziś naturalnie — mówił Radca — znówu sobie putnę, już czuję, bo to szelma karta teraz ciągle mi niedopisuje, aby chociaż miejsca nieprzyszło wybierać... ot masz... akurat... a niech że cięlicho ciężkie porwie, tak naturalnie, a rozumie się, wybiorę miejsce najgorsze — wachając się z razu wreszcie siadając od kominka zrzędził Radca.

Wszyscy więc usadowili się stosownie do wyciągniętej karty. Panna Teressa, po odejściu Pana Atanazego, który wodził za nią wzrokiem, chrząkał i nos często ucierał, odeszła do drugiego pokoju robić przygotowania do herbaty.

— Powinienby Pan Atanazy przegrać chi! chi! chi! — ozwała się Prezesowa.

— A toż czemu? he he he.

— Bo to wszyscy co szczęśliwi w miłości, to przegrywają chi! chi! chi!

— A no obaczemy he he he.

— *To dobrze, to dobrze* — powtarzał jakby do siebie Doktor kręcąc się na krzeselku.

— A prędejże, Pani Prezesowa daje karty, bałamucie bo — ozwał się Radca.

— A jaki niecierpliwy chi! chi! chi!, no! a jak tam żonka zdrowa, dzieci, a szczególniej synek ten ładny?

— Jaki synek? co się Pani śni! ja nie mam synka!

— Prawda że to nie synek, a siostrzeniec chi! chi! chi!...

— A konsolacja Konsyljarza? Panna Franciszka, podobno jej dziecko zachorowało...

To dobrze, ale jakto Panna Franciszka? przecież ona męża nie ma.

— Chi! chi! chi! co ja też plotę, prawda, nie Panna Franciszka a Pani Franciszkowa...

— *To dobrze*, a to co innego, już dziecko jej zdrowe.

— Czy my dziś zaczniemy czy nie? zakładając ręce na krzyż pytał Radca.

Zaczęła się wreszcie licytacja i gra, w czasie której Radca nieustannie zrzędził i narzekał, Prezesowa była roztargnioną i postronniemi uwagami i zapytywaniami ciągle ją przerywała, Konsyljarz mruczał: „*to dobrze, to dobrze*”, a Pan Atanazy, chrząkał, nos ucierał, namyślał się długo, zerkał ciągle do drugiego pokoju gdzie się Terka

krzątała i na zgryźliwe monita Radcy swojem „he he he” odpowiadała.

Radca. A grajże prędzej do stu kaduków, bo aż mory porywają, apopleksyi można dostać.

Doktor. *To dobrze,* szczęście że Doktor tuż, to będzie ratował.

P. Atanazy. Ale zaraz zaraz bo mam ambaras i karta taka że nie wiem w co grać he he he.

Prezesowa. A ktoto wychodzi? ja? ot zadaje Trefle...

Radca. Ależ zaraz, zaraz jeszcze nie wiadomo w co zagra.

Prezesowa. Prawda chi! chi! chi!, Konsyljarz byłeś do Trefli?

Doktor. *To dobrze,* ani mi się śniło, nie było żadnej licytacji.

Radca. Ale co, bo Pani Prezesowa bałamuci, no! wystękasz ty dziś czy nie? bo aż passje porywają.

Prezesowa (podniesionym głosem) Terciu! a każ poprosić na herbatę Pana Raczyńskiego.

— Dobrze babciu — ozwał się głosik, którego intonacja była jakaś miękka i nadzwyczaj na tę propozycję ochotna.

Uważałem że równocześnie z tém przypomnieniem Prezesowej, zmarszczył brwi Pan Atanazy, chrząknął i jeszcze się dłużej namyślał, co do ostatniej passyi Radcę doprowadzało.

Wygłosił wreszcie 'grę Pan Atanazy, i Radca sam mu pomagając wpadł.

A bodajżeś przepadł! miał się nad czém tak namyślać, żeby drugiego wpędzić.

— To dobrze to dobrze — mruczał Doktor.

— Tak dobrze, dobrze, a jak ciebie przyzwać, to pewnie trzeba leżyć fuszerze.

— Pan Atanazy grał siedem? — zapytała Prezesowa a no to ja piszę na Radcy.

— Ale hola! hola! za dużo na jednego, wpadłem na pomoc, a to ze skóry człowieka radziby obedrzeć jeszcze im nie dosyć, poczekaj odwdzięczę ja ci się — z passją zwracając się do Pana Atanazego groził Radca pisząc płątkę z przyciskiem, aż kredka we dwoje pękła.

Gdy następnie rozdano karty Radca ciągle narzekał:

— Oto karta, same młódki, no proszę, mój Panie (zwracając się do mnie) niech

Pan tylko przez ciekawość zobaczy co to za „szelmoskie szczęście” — i nieczekając gdy chciałem się doń zbliżyć rozłożył karty na stół gdzie były rzeczywiście same młódki, ot jaka piękna to warto się pochwalić, żeby jedna figura!

— *To dobrze, ale nie pokazuj że kart cóż to za gra będzie!*

— *A gdzież ta dobra karta? bo i u mnie pustki chi! chi! chi!*

Gdy Radcy co raz więcej nie szło, można sobie było wyobrazić jak się irytował, wyrzekał na Doktora który go parę razy wpuścił, odgrażał się na Pana Atanazego, który mu swoim „he he he” odpowiadał, co go jeszcze bardziej drażniło, i strofował Panią Prezesową że grała roztargnienie.

Gdy znów zagrał Radca a Pan Atanazy i Prezesowa mu pomagali, rozirytowany również docinkami Pana Radcy Doktor, powstał i pomagał Prezesowej przez co Radca wpadł.

— *Galerja i rady tu wcale nie potrzebne — podniesionym głosem sapiąc od gniewu mówił Radca — pomagasz i radzisz, pa-*

miętaj że i ja ci się kiedy przysłużę i radzić będę.

— *To dobrze to dobrze*, wolno ci radzić.

I rzeczywiście gdy wkrótce Konsyljarz zagrał a Prezesowa i Pan Atanazy mu pomagali, Radca z furją powstawszy, tak grą kierował i radził że Konsyljarz płatkę postawił.

— Masz za moje wsadzenie — mieniąc się ze złości mówił Radca.

To dobrze, cóż robić.

Niebawem wszedł do sali młody człowiek, przyzwoicie ubrany, z dużemi czarnemi włosami i ładnym wąsikiem, o twarzy ogorzałej lecz pełnej wyrazu i młodocianego wdzięku i skłonił się wszystkim z grzecznością.

— Dobry wieczór ci Panie Raczyński — odrzekła Prezesowa, od Radcy i Doktora grą zajętych zaledwo kiwnięcie głową otrzymał, Pan Atanazy zaś nie odklonił mu się wcale, a złowrogiem i namarszczonem przeszły go spojrzeniem.

Był to rządcą dóbr Prezesowej, młody agronom, syn zubożałych obywateli, chłopak szlachetny porządnie się prowadzący,

dobrze wychowany i znający się na swym fachu.

Po tym ukłonie poszedł do drugiego pokoju gdzie była Terka.

Pan Atanazy od tego czasu z widocznym grał roztargnieniem, i ciągle niespokojnie zerkał w stronę pokoju gdzie byli młodzi.

I rzeczywiście miał powód niepokojenia się, bo tam obok brzęku szklanek przyrządzających się do herbaty, gdy wszedł młody człowiek rozlegał się teraz często srebrny i wesoły głosik Terki i jej śmiech podobny do dzwoneczka.

Ażeby nie przerywać drogiego dla gry czasu, podano tutaj herbatę, Terka z P. Raczynskim ciągle tam w drugim pokoju wesoło rozmawiała, Pan Atanazy z początku roztargniony, teraz w coraz gorszy wpadał humor i zachmurzał oblicze a wpadłszy w zły humor zaczął się z Radcą przekomarzać, który im wszystkim dogadywał, Doktor również był na Radcę rozirytowany, jedna tylko Prezesowa zawsze roztargniona i śmiejąca się a niewiele sobie z gry robiąca, zachowała jakoś jednostajne usposobienie.

Gdym się dowolnie napatrzył tej dziwnej grze i nasłuchał tych docinków i gniewliwych dySSERTACYI gdy już była 11-a, pożegnałem towarzystwo, które w coraz większy zapal wpadając, coraz się więcej wzajem szyskanowało i irytowało, odjechałem.

A powracając do domu dziwiłem się tej szczególniejszej zabawie, która tyle zepsucia krwi grających kosztowała, a zarazem z moich obserwacyi wyniosłem to przekonanie, że papiery Pana Atanazego nie tego stały i kto wie czy niebyło słuszném jego roztargnienie i zły humor po przyjsciu Pana Raczyńskiego, bo Terka przedtem smutna i melancholijna, bardzo jakoś w towarzystwie młodzieńca, zdawała się być ozywioną i wesołą.

Wkrótce dowiedziałem się, że w Podrybiu zaszła stanowcza decyzja co do przyszłego losu pięknej Terki.

Dotąd Prezesowa forytując Pana Atanazego na przyszłego męża swój wychowanicy, stanowczo się z nią o swych zamiarach nigdy nieporozumiała, dopiero gdy Pan Atanazy

zaczął nalegać, potrzeba było decydująco ową materję poruszyć.

Pewnego więc dnia po wyjeździe Pana Atanazego, który przybył pomiędzy Wtorkiem a Sobotą i prosił Prezesowej o przyspieszenie „gorących pragnień” uczuciami przepelnionego he he he, jak mówił swego serca, Pani Prezesowa zawoławszy Terkę oświadczyła jej, że wołą jej było, aby ona mu swą rękę oddała, mówiła przytém dużo na korzyść Pana Atanazego, zachęcała, wystawiała jej i dowodziła że to dla niej los świetny, partja jakich mało, wreszcie dodała że w razie zgodzenia się Terki na ten związek tytułem posagu zapisuje jej ona (Prezesowa) 50 tysięcy złotych, a po jej śmierci to kto wie, komu się cały ten majątek dostanie — znacząco dała jej do poznania.

Po wysłuchaniu tego wszystkiego, Terka z płaczem rzuciła się do jej nóg i dziękując za jej serce dla niej, opiekę macierzyńską i te zapisy, błagała aby jej niewydawała za Pana Atanazego, że ona go wcale nie kocha i kochać nie może, że tych zapisów w żadnym razie nieprzyjmie i prosi o ich cofnięcie i zaklina aby ją do tego związku nie

zmuszać, bo raz jeszcze przyznaje że go nie kocha, że Pan Atanazy gra tylko w Preferansa i Preferans kocha pewnie więcej jak ją, wreszcie z jąkaniem i rumieńcem wstydu wyznała babci że ona, że ona już ma serce zajęte... że kocha Pana Raczyńskiego.

— Ależ cóż na to powie Pan Atanazy, a to ja stracę gracza dziecię kochane? — wystraszona zrazu zawołała Prezesowa.

— Nie babciu, zaręczam że go nie stracisz, on dla tego bywać tu będzie i będzie grać, bo on grę tak lubi, a mnie nie rób nieszczęśliwą, bo ja bym była bardzo a bardzo nieszczęśliwa, gdybym za kogo innego iść była zmuszoną — i zaczęła płakać i ręce i kolana babci całować.

— Co to poradzić z młodemi rozmażonemi głowami chi! chi! chi!, no no nie płacz, — tuląc ją mówiła pocziwa Prezesowa, — co do Pana Raczyńskiego zobaczemy, może ja i nic przeciwko temu nie będę miała, to porządny człowiek, no i młody i ładniejszy, nic dziwnego że ci się podobał lepiej ale zawsze boję się utracić przyjaźni Pana Atanazego.”

I wreszcie zacna staruszka której tu głównie chodziło o niestracenie nałogowego Preferansisty we Wtorki i Soboty, zdecydowała się nie cofając swoich zapisów, na połączenie Terki z Panem Raczyńskim chociaż zawsze była niespokojną jak to Pan Atanazy przyjmie, i czy czasem na Preferansa przyjeżdżać nie przestanie.

Będąc również ciekawym jakie będzie znalezienie się dalsze podstarzałego konkurenta, w obec tak nagłej i niespodziewanej dlań decyzji, pośpieszyłem w jeden z dni Preferansowych do Podrybia, gdzie już po godzinie 7-jej przybyłem.

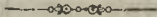
Zastałem o dziwo czwórkę tych nałogowych nierozzerwaną i Pana Atanazego grającego tak jakby nigdy nic nie było.

A jednakże Terka już była po przyrzeczeniu z Panem Raczyńskim, który przyszedłszy na herbatę, już swobodnie rękę jej do swego przyciskał serca i wzrokiem pełnym miłości na nią w rozmowie spoglądał.

Pan Atanazy grał jak dawniej z tą tylko różnicą że już niespokojnie do drugiego pokoju nie spoglądał i czoła nie chmurzył.

Terka miała rację zapewniać, że Pan Atanazy bywać nie przestanie i grać będzie jak dawniej w Preferansa.

A gra w ogóle szła swoim zwyczajnym trybem podobnie jak dni poprzednich, z témże samém graczów irytowaniem, przymówkami i kwestjami, z témże samém roztargnieniem Prezesowój, zrządzeniem i narzekaniem Rady?, *to dobrze* Konsyljarza i częstem ucieczeniem nosa, chrząkaniem i śmiechem „he! he! he! powolnym Pana Atanazego.



GAWĘDKA POOBIEDNIA.

WYDAWCA: WYDZIAŁ HISTORII I SOCJOLOGII
UNIWERSYTETU W BIAŁYMOSTKIE

IV.

Odwiedzając niedawno gościnny i miły dom Pułkownika w *Założnicach*, zastałem tam właśnie zebranie męzkie dość liczne z sąsiadów znajomych moich złożone.

Zacna to, sympatyczna i szanowna osobistość Pułkownika. Światły, uczciwy, szlachetny, pełen żołnierskich zasad honoru, podług mnie było obywatel w całym znaczeniu, a szlachetność ta i rozum wybitnie się malowały w jego kształtnej wyprostowanej o szlachetnych ruchach postaci i w twarzy jeszcze pięknej chociaż już siwemi wąsami i włosami ozdobionej.

Zamożny i lubiący towarzystwo, uprzejmie zawsze i gościnnie podejmował odwie-

dzających go, a w jego domu rzeczywiście oprócz smacznego i obfitego pokarmu ciała (która to okoliczność najwięcej doń szanownych moich sąsiadów zwabiała) można było i dla głowy i dla serca znaleźć resursa, bo Pułkownik trzymał dużo pism i gazet, posiadał ładną i doborową biblioteczkę i sam w rozmowie, był bardzo miłym i zajmującym.

Po skończonym obfitym i smacznym obiadku, gospodarz zaprosił swych gości do bocznego pokoju na czarną kawę i cygara.

Pozbywszy się konwencjonalnego mniej więcej zachowania się przy stole, w obec kilku dam żon i córek przybyłych sąsiadów, oraz dwóch sióstr Pułkownika, starych Pannien które przy nim mieszkały i domem mu zarządzały (bo Pułkownik był wdowcem), towarzystwo to wszedłszy do owego pokoju, zaczynało się rozkurczać jak to mówią i do głośniejszych i swobodniejszych zabierało się rozmów z cygarami i papierosami, zasiadając w wygodnych pozach na krzesłach i fotelach jedni, drudzy kładąc się bez ceremonii na sofkach miękkich i wabiących, któ-

rych tam było w każdym kąciuku podostatkim.

Ależ trzeba się nam chociaż pobieżnie zapoznać z tém towarzystwem, które oprócz mnie i Pułkownika, składało się z sześciu najbliższych i najczęściej dom jego odwiedzających sąsiadów.

Pierwszą figurą leżącą wygodnie na sofie, był *Pan Prot*, otyły, sapiący o czerwonej wąsatej twarzy, dość zamożny, dziedzic dóbr Sobczyniec: był to sybaryta, egoista jakich mało prawdziwe zero społeczenské; amator szczególniej dobrej wyżerki i obiadków Pułkownika, cały cel życia miał skierowany na dogodzenie swemu *gospodarzowi* jak nazywał wystający swój brzusek, po którym często ręką klepał mówiąc: — „To grunt *Mościeju Panie*, jak gospodarz zdrów i nie głodny, to wszystko jeszcze pół biedy *Mościeju Panie*.”

Drugą figurą kręcącą się z papierosem po pokoju był tak zwany powszechnie *Głupi Franek*, człowiek młody lat 26, pulchniej i krępej figurki, o twarzy okrągłej bez żadnego zarostu, z wyrazem na niej głupowatym, z wiecznym na ustach uśmiechem za-

dowolenia z siebie rozumie się i z oczami siwemi bezmyślnie i bez żadnego wyrazu na świat patrzącemi. Głupiego Franka wszędzie w okolicy brano na fundusz, śmiano się z niego w oczy, mówiono mu nieraz impertynencje, lekceważono, wyprowadzano umyślnie na śmieszność, pomimo to jednak nie obrażał się za to wcale, brał to wszystko często za dobrą monetę i komunikował się z sąsiadami. Niektórzy utrzymywali, że nie był tak głupim jak się wydawał, bo majątkowo stał dobrze, wcale nieźle swoim mieniem zarządzał i nie dawał się okpić w interessach. Były nawet Panny w okolicy, które jego głupoty broniły i któreby za niego chętnie wyszły, gdyby chciał, rozumie się że głównie dla dostatecznej fortunki. Śmiech jego częsty i głupowaty, wyrywanie się nie w porę z conceptami lub z jakąś poważną dySSERTacją co mu się zawsze nie kleiło, i czego zwykle niedokończył, a co wypowiedaném było sposobem pieśczoneym ze złą wymową jakby małego dzieciaka; obok tego pewność siebie, wieczne zadowolenie ze swęj figury i nie poznawanie się na kpinach i żartach które z niego robiono,

wszystko to rzeczywiście niewiele przema-
wiało za jego stronę umysłową.

Trzecim stojącym w pozycyi kolosu Rodyjskiego z założonemi na piersiach rękoma, pochylony, wysoki, chudy, w okularach, z rozczochranym długim włosem, z surowym i pewnym siebie wyrazem w twarzy, z gołą chudą szyją, w stroju wytartym, poplamionym i w nieładzie — był Pan *Kalasanty* z Purchatki znany erudyta okoliczny, mający się za wielce rozumnego i za wyrocznie okolicy. Mówił zawsze o wszystkiem górno-lotnie, miodopłynnemi wyrazami i tak że go trudno było zrozumieć, byli jednak tacy, których obalamuwał, którzy mu wierzyli, mieli go za rzeczywiście uczonego człowieka i za wyrocznie w opinii publicznej okolicy, chociaż z tego co im mówił nic a nic nie rozumieli.

Jedynym biczem na Pana Kalasantego był Zenon rzeczywiście człowiek światły wszechstronnie i posiadający dar wymowy, przy którym górno-lotne rozprawy Pana Kalasantego nie wytrzymały krytyki i którego Pan Zenon, rozsądnymi a prostymi zbijał argumentami na każdym kroku, wykazując że te jego szumno-lotne dysserta-

cje były raczej zestawieniem i grą wyrazów wyszukiwanych w szumne frazesa powiązanych, aniżeli wypowiedzeniem jakiejś myśli lub zdania choćby najniepraktyczniejszego; przy Panu Zenonie więc Pan Kalasanty milczał, ale gdy go niebyło w całej pełni i swobodzie talent swój erudycyjny rozwijał.

Obok niego siedział na fotelu, szczególniejszy jego admirator *Pan Bonifacy*, dzierżawca wsi Pakuły, znany powszechnie *brzuchacz*, łysy jak kolano, wąsaty, nadzwyczaj otyły, z ogromnym wystającym brzuszkiem na którym ręce splecione, ledwo się palcami schodziły. Oczy miał zmrużone, uśmiech głupowaty na obwisłych ustach, było to także wielkie społeczne zero. Dla niego to Pan Kalasanty był bożyszczem i wyrocznią, nad jego każdym wyrazem szumnych dySSERTACyj się extazjował, jego rad we wszystkiem słuchał, bo sam nic nie był w stanie loicznie przedsięwziąć. Jego ulubionem i częstym przysłowiem było: „*sobie tego tam*” którego w każdym odezwaniu się było więcej aniżeli innych wyrazów.

Następnie na wpół siedząc, na wpół leżąc, spoczywał na sofeczce *Gucio*, młodzie-

niec o ładnej rumianej twarzączce z czarnymi wąsikami i włosami ufryzowanemi, nadzwyczaj starannie i elegancko ubrany. Był to Lovellas okolicy, i nie było Panny w sąsiedztwie, któraby się w jego przekonaniu w nim nie kochała, a chociaż był nie majątny, to jednak przy ogromnej zarozumiałości tak o swym rozumie jako i wdziękach, miał wszelką nadzieję, że najświetniejszą partję jaką tylko zechce pozyska, tymczasem zaś bałamucił i rozkochał jak mniemał kogo tylko mu się nadarzyło.

Ostatnią wreszcie figurą siedzącą skromnie i sztywno na krzeselku, w ubraniu dość zaniedbanem, w krótkich wysoko podciągniętych nankinowych spodenkach, był Pan *Onoszkowicz*, suchy, blady, z długą szyją, oczyma wytrzeszczonemi, z wiecznym jakimś dobroduszno - głupowatym uśmiechem, nic nigdy prawie nie mówiący oprócz; *tak, tak, a no tak*" powtarzający, kuzyn blizki znajomego nam Pana Fortunata, majątkowo bardzo źle stojący i po dzierzawkach małych chodzący, poczciwy zresztą z kośćcami jakto mówią człowieczyna.

Każda dzisiejsza pogawędka, gdy się tylko kilku zbierze ziemian, rozpoczynać się zwykła od jednego tematu, to jest od utyskiwania na biędę i ciężkie czasy, i nasze więc towarzystwo nie obeszło się aby na wstępie jeremjad swych nie wywodzić.

— Oj bięda bięda Mościeju Panie, co za szelmy czasy to ha! — pozewając i wyciągając się na sofce intonował Pan Prot.

— I to jeszcze sobie tego tam z każdym dniem coraz gorsze Panie, jakie to ceny, jaki najemnik drogi! — zawtorował na w pół śpiący Pan Bonifacy brzuchacz.

— Tak tak ano tak! — z westchnieniem potwierdził Pan Onoszkowicz.

— Co z nami dalej będzie? jak Pana Boga kocham poginiem Mościeju Panie z krete sem i kwita.

— Z kijeckami i torbami będziemy chodzić po zieblaninie ha ha ha! — pieszczotliwie i śmiejąc się ze swgo konceptu dodał głupi Franek.

— Et co tobie Mościeju Panie, ty się nie boisz, ty stoisz dobrze, ale my.

— A kiedy ja kaletami nie jeździę tak

jak Pan Plot i nie mam takich cugowych koniów ha ha ha!

Gucio. Franek rzeczywiście nie ma się czego obawiać, zresztą ma głowę na karku i to głowę niepospolitą.

Zaczęto się śmiać, a za nimi Franek nieobraźliwy jak gdyby nierozumiejąc docinku do siebie skierowanego.

Pan Prot. Wszystko to dobrze Mościeju Panie, ale jak tak dalej potrwa, Dali Bóg nie do wytrzymania, a cóż ty na to Panie Kalasanty, Mościeju Panie?

Pan Kalasanty, puszczając kłęby dymu z cygara, nie zmieniając swęj postawy, sentencjonalnie — „Ostatnie zdanie wygłoszone przez szanownego kolegę nie jest bynajmniej *aforystyczném*, dobrobyt nasz (tu Pan Bonifacy brzuchacz zaczął palcem grozić i wskazywać znacząco na mówiącego i kiwać głową z admiracją) rzeczywiście jest *summarycznie* i *integralnie* zachwiany, ale gdybyśmy się chcieli zastanowić czy nie ma środka, czy nie ma jakiego *kryterjum* na to, zanegowałbym absolutnie. Jest moi Panowie, jest ale w *izochronicznem exploitowaniu* z siebie wyników i czynników, pracy, handlu i prze-

mysłu, co wszystko jak wiadomo dopiero w małokielkującym *embrjonie* pomiędzy nami się znajduje... Byt nasz rzeczywiście *efemeryczny*...

Franek. Tak ale zalez, zalez, czekaj no Pan, plawda no, lozumiem, ale jakzie to niby powiedziec?...

Pan Bonifacy — „Cicho, cicho sobie tego tam, nie przerywaj!

Gucio — Franek ma głos, czekajcie, pozwólcieź mu mówić.

Pan Kalasanty — No więc co szanowny kolega miał mi do przeciwstawienia?

Franek — To jest ja chciałem, niby zarzuty... bo kazda polemika jak się ten... jak by to... no ale niech Pan sobie gada.

Gucio — Ot jakoś nie udało się Frankowi, spaliło na panewce.

Wszyscy śmiać się zaczęli a za niemi i Franek.

Pan Kalasanty mówił dalej:

— „Więc chociaż jak wspomniałem, że byt nasz jest *efemeryczny*, to jednak przecież na *ostracyzm* nie jesteśmy skazani i byle *izochronicznie* wziąć się do różnych *experymentalnych* produkcji, tylko Panowie zaznaczam

ten wyraz *izochronicznie!* i gospodarstwo prowadzić postępowo, machinami i inwencjami zastępować ręce proletarjatu, oto podług mnie jedyna dźwignia nasza, to *Alfa* i *Omega*, to *Panaceum*, kryterjum pozytywne naszego punktu wyjścia...

Pomimo tak szumnie wygłoszonych teoryi, trzeba wiedzieć, że gospodarstwo u Pana Kalasantego szło jaknajgorzej i stara odwieczną a dziś już wysmianą rutyną, co zaś do maszyn i narzędzi rolniczych posiadał tylko płuzek do kartofli, którymto płuzkiem chwalił się niezmiernie.

W trakcie tej perory Pana Kalasantego Guccio mnie zapytał.

— Czy Pan rozumisz co on mówi?

— Nie nie wiele — odpowiedziałem.

— Mnie się zdaje — dodał Guccio że on i sam siebie nie rozumie i nie wie czego chce, szkoda że tu niema Zenona.

Pan Prot. Za pozwoleniem szanownego mówcy Mościeju Panie że mu przerwę, bardzo to piękne co Pan mówisz, ale przypominając mu dawniejsze jego dySSERTACJE polityczne, to ot zwracam Pańską uwagę jak

teraz zupełnie inaczej wypadło, aniżeli Panes Mościeju Panie utrzymywał.

Pan Kalasanty. W wielkiej dziedzinie, rozległego *dyskussyi* pola politycznego, najczęściej posługiwać się można tylko *hypotetycznie*.

Franek. Zia pozwoleniem, cós to ma do polityki Hypoteka?

— *Pan Kalasanty.* Nie hypoteka a Hypoteza:

Tu ogólny powstał śmiech, Pan Bonifacy brzuchacz groził i wołał: „cicho sobie tego tam” — a po uciszeniu się znowu. Pan Kalasanty zabrał głos o polityce i gdzie wyrazy jak *kataklizmy narodów, migracje szczepów i pokoleń, kryterja, anachronizmy dziejowe, archaizmy* i t. d. sypały się jak z rękawa, tworząc niby teorje i zasady polityczne Pana Kalasantego, który sam nie wiedział czego chce sam siebie nie rozumiał, a którego témbardziej nie rozumieli słuchacze.

Pan Bonifacy, tylko głową ruszał i powtarzał:

— A niechże go kaduk porwie sobie tego tam jak on porywająco gada!..

Lecz gdy ta jego przemowa, zanadto długo przeciągać się zaczęła, zaczęto poziewać, Pan Bonifacy usnął na dobre, inni zaczęli między sobą rozmowy, co widząc Pan Kalasanty zwrócił się do Pana Onoszkowicza i przyparłszy go do kąta na nim dalej potęgę swej elokwencyi praktykował, a posłuszną miał ofiarę bo Pan Onoszkowicz wlepiwszy oczy w jeden punkt słuchał go cierpliwie, uśmiechał się i co moment powtarzał: „a tak, tak, a no tak naturalnie.”

W trakcie tego Gucio znów zaczął kpić z głupiego Franka.

— Słuchaj no Franku, mam dla ciebie zagadkę której zaręczam że nie zgadniesz.

— No cóż tam nowego, czemu nie mam zgadnąć, ja rebusy zgaduję w pismach.

— No to zgadnij:

„Siedzi na kanapie
Pazurami drapie
Myszy łapie
Zgaduj gapie.”

— No! to kot — pomyślawszy trochę odrzekł Franek.

— Ale ba! wiedziałeś, e! z grubego
 końca szparagi jadasz — serjo z wyrzutem
 mówił Guccio.

— Slowo honoru daję, jak Mamę seldecznie kocham, tak nie wiedziałem, tylko tak plosto z glowy — tłumaczył się i zaklinał w najlepszej wierze głupi Franek.

— No toś łepak kiedy tak — rzekł w reszcie Guccio.

— Ale ale — nie zmięszany śmiechem mówił Franek, muszę wam téż powiedzieć, będziecie pękać od śmiechu, ten Faustyn co to taki zabawny i co komponuje wielsze, to czytał nam wielsze swoje co skomponował na imieniny Panny Zenobii, a powiadam wam że wybolne i będziecie pękać od śmiechu, jak tu wam powtóżię i tak: „Laskawa Panno Zienobjo... ha ha ha... więc tedy Laskawa Panno Zienobjo... zalaz, zalaz... ha ha ha... a to zabawne... ot zapomnialem bodajzie cię...

Guccio. No tośmy się niewiele dowiedzieli, znów Frankowi spaliło na panewce.

Wiersze nie wygłoszone przez Franka do Panny Zenobii zmieniły temat rozmowy, który zeszedł na materję o literaturze.

Pan Prot. Powiedźcie mi proszę Mościeju Panie, po jakiego licha namnożyło się u nas teraz tyle pism, tu bieda ogólna, a te wyrastają jak grzyby.

Gospodarz. (Który czas jakiś był nieobecny i bawił damy w salonie). — A! zmiłuj się, toż to objaw bardzo szczęśliwy, chwalebny, znać działalność umysłową.

Pan Prot. Już to trzeba być szczególniejszym amatorem tak jak Pułkownik, ażeby tyle pism trzymać Mościeju Panie, ale prawdę powiedzieć to wyrzucony pieniądz.

— A już to prawda — zawołali prawie wszyscy.

— *Gucio.* Rzeczywiście, że ja to uważam za wyrzucony pieniądz, bo co tam w nich jest, albo kłótnie, albo rozwodnione dyssertacje w kółko o jednem i o tém co każdy mający trochę oleju w głowie, to wie o tém na pamięć.

Franek. A to plawda ha ha ha!

Pan Bonifacy brzuchacz (który się rozbudził).

— Ja teraz zrobiłem sobie tego tam oszczędność, i dawniej co moja Filcia i córki sobie tego tam koniecznie masę tych

pism trzymały, teraz powiedziałem aus! bieda, oszczędzać się, jedną gazetę najwięcej i tę trzymam sobie tego tam jeszcze na wspólnkę z Bronisławem.

Pan Prot. Bardzo rozsądnie robisz i ja zaoszczędziłem się, i tylko trzymam Kurjera Mościeju Panie Warszawskiego i basta, a jak Boga kocham, że nieraz mój Mordko ciekawsze wiadomości mi przynosi, aniżeli w tych tam Gazetach.

Gospodarz. Mówicie Panowie, że się oszczędzacie w trzymaniu pism, ale zaręczam że trybu życia wygodnego i z komfortem, a toż to przecież pokarm ważniejszy bo duchowy.

Pan Prot. He he to co innego, do tego człowiek przywykł i znowu podług mnie pierwsza myśl aby gospodarz był *satisfactus* Mościeju Panie (klepiąc się po brzuszku mówił), bo jak tu niedobrze i głodno i chudo, to się człowieka i pokarm ten tam duchowy nie ima.

Pan Kalasanty sentencjonalnie. Ja bym powiedział że trzymanie i zbieranie bibliograficzne *objawów* ducha jest chwalebne

i każdej wyższej *intellektualności* obowiązkiem.

Pan Bonifacy brzuchacz. — Cicho no sobie tego tam, zaczyna!...

Pan Kalasanty. Lecz zbieranie i trzymanie pism wyższych, specjalnych, prawdziwie naukowych, ale nie *elukubracyi* fantazyjnych belletrystycznych takich słabych i płytkich autorów jak Kraszewski, Korzeniowski i inni...

Gospodarz. Ależ Panie Kalasanty, jakże możesz tym autorom odmawiać talentu, zwać ich płytkimi i słabymi i poniżać powieść, powieść która ośmiesza satyrę nasze wady, która piękne i wzniosłe nieraz przeprowadza idee, która kształci serca młodego pokolenia i jest nieraz słodkiem i miłym dla duszy lekarstwem, bój się Boga co mówisz?

Pan Kalasanty. Takie wszakże jest moje zdanie, być może *abstrakcyjne*, ale z przekonania pochodzące, że tylko poważny pokarm a nie mdłe ulepki dawane być winny w dozach, zacząwszy od młodego pokolenia...

I znowu wpadłszy w zapał krasomówczy zaczął bredzić, tak że go trudno było zro-

zumieć, to tylko było zrozumiałem że się chwalił iż on sam wybór dzieł uczonych sprowadza i że już ma z nich porządną bibliotekę, co było nie prawdą, bo oprócz kilku dzieł o Ekonomii Politycznej i kilku filozoficznych, a starych już i zużytych, żadnych innych u niego nigdy nie widziałem.

Nareszcie chcąc przerwać nudną i absurdyczną jego dySSERTACJĘ Pan Prot ziewając ozwał się:

— No gospodarzu, każ nam dać stolik, trzebać przecież Mościeju Panie, po tych duchowych perorach i szczęścia na zielonem polu poprobować.

Gucio. A to już dawno trzeba było zrobić, bo już nudno słuchać tych dySSERTACYI.

Gdy Gospodarz kazał stolik zielony przyrządzić i mieli siadać do gry, Pan Bonifacy zbliżył się do Pana Kalasantego i szepnął mu.

— No a to sobie tego tam, wypal no jeszcze cośmy mówili...

Pan Kalasanty. Ale ale Panowie! jeszcze jednego raczcie posłuchać wniosku, który tu przed wasz szanowny *areopag* ośmieję się przedstawić i zakomunikować.

Pan Bonifacy. Cicho! sobie tego tam, bo to ważne.

Pan Kalasanty, Szczęśliwy traf miłego zgromadzenia tutejszych reprezentacyi obywatelstwa, upoważnia mnie do wyrzeczenia słów kilku w kwestyi, która nas wszystkich *identycznie* i wspólnemi węzły dotyczy... *Solidarność* Panowie i postępowanie ręka w rękę w mozolnem a tak chwalebnem powołaniu rolnika *viribus unitis*, powinna być nieodstępną naszych kroków przewodniczką, bo wszystkie wielkie idee nawet wymagały zawsze jednomysłności, a zarazem wzajemnego poświęcenia i tu więc powinna wyjść od nas *inicjatywa*...

Pan Bonifacy. A niechże go wszyscy djabli porwą jak on zawsze sobie tego tam pięknie mówi!...

Pan Kalasanty. Otóż idzie oto, że gdy zbliżają się sianożęcia na naszych wonnych i pięknych łąkach i czas zniw na naszych łanach, słowem zbliża się ten błogi perjod zbioru owoców naszej ciężkiej pracy i znoju rolnika, potrzeba więc Panowie, abysmy się umówili o cenę, aby była równa i aby nikt

więcej nie dawał i nie licytował, bowiem w tém jest wspólna korzyść nasza...

Wszyscy razem.

— Ale naturalnie, dobrze, dobrze!

Pan Kalasanty. Proponuję więc, aby płacić kosarzowi dwa złote i dwa razy wódki, czeladzi 40 groszy i raz wódki, do żniwa zaś półtora złotego i raz wódki, czy zgoda?

Wszyscy — zgoda, zgoda!

Pan Kalasanty. Pamiętajcież Panowie i dajmy sobie słowo, że nikt więcej nie zapłaci.

Pan Bonifacy w zapale podnosząc rękę:

— „Kiep ten co da więcej sobie tego tam!

Pan Kalasanty. Oprócz tego, dajmy sobie słowo że wzajem nie będziemy werbować robotnika po wsiach cudzych, a każdy ze swojej miejscowości najmować ich będzie i pod tym względem Panowie solidarność, solidarność powtarzam przedewszystkiém!

Wszyscy. — Oto to, dobrze, dobrze, każdy u siebie.

Pan Kalasanty. No więc zgoda, pamiętajcież Panowie!

— Pamiętajcie, pamiętajcie! chórem

prawie wszyscy powtórzyli, a Pan Bonifacy całując i ściskając Pana Prota ze łzami mówiąc.

— Niechże cię wszyscy djabli porwą sobie tego tam jak ty tam zawsze gładko jakos Panie, umiesz zawsze sobie tego tam... tak że wszyscy sobie tego tam...

Po skończeniu téj mówki znakomitego erudyta zasiedli do gry Pan Prot, Pan Bonifacy, Pan Kalasanty i Franek, który zwykle był ich dojną krówką, bo źle grał, a do gry miał zawsze ochotę niepospolitą.

I zaczęła się certacja o cenę gry.

Pan Prot i Bonifacy upierali się za kopiejką, Pan Kalasanty i Franek byli za groszem; wreszcie kopiejka przemogła i ci co oszczędność zaprowadzali w literaturze, utyskując na biedę, nie wahali się przegrać najmniej 15 do 20 Rubli w jednej puli, bo gra była z niedawno w modę wprowadzonym *kotlem*, co wielce grę tę podwyższało i rezultata znaczne powodowało.

Z widzów pozostał tylko Pan Onoszko-wicz, ja zaś z Guciem i Gospodarzem, udaliśmy się do dam zebranych w salonie.

W kilka dni potem gdy czas sianozęcia nastąpił, mając na względzie perorę i *Solidarność* Pana Kalasantego, zawoławszy mego Ekonomu surowo mu nakazałem, aby nad umówioną cenę nie postępował i z cudzych wsi robotnika nie werbował.

Lecz w dzień oznaczony do rozpoczęcia roboty, przy sprzyjającej pogodzie, gdym był najpewniejszy że mi robotnicy dopiszą, mój Ekonom powrócił z oświadczeniem, że nie ma ani jednego, a to z tej przyczyny że do mej wsi przysłał Pan Kalasanty i Pan Bonifacy i zaczęli licytować, a że Pan Kalasanty postąpił 5 groszy, więc wszyscy poszli do niego.

I tak ten co tak perorował, sam wniosek ten przedstawił i o solidarności napominał, jako też i ten co wykrzyknął: „Kiep ten co da więcej,” najpierwsi ogólną umowę przełamali.

Na razie wierzyć temu nie chciałem, lecz wkrótce przekonałem się o prawdzie, a widząc się z nimi robiłem im słuszne wymówki. Oni tłumaczyli się że nie winni, że to ich ludzie tak pobałamucili i w brew ich woli postąpili, czemu wierzyć mi się nie-

chciało, zwłaszcza że i nadal werbowanie i licytacja dalej swoim torem w mej wiosce miały miejsce, zmuszony więc byłem cenę podwyższyć i z innych wsi również werbować.

... w ...
 ...
 ...
 ...
 ...

PANTOFEL.

PAZTOFFL

V.

Zastanawiając się nad ludźmi w mojej okolicy, przebiegając myślą i oceniając pozycia stadeł małżeńskich, niejednokrotnie już przyznać musiałem, że bardzo niewiele naliczyć bym mógł małżeństw dobranych, prawdziwie zgodnych i tak z sobą żyjących, jak tego święty ten związek wymaga. Mówię tu tylko o dawniejszych i starszych małżeństwach. Jeżeli pomiędzy takimi trudno o dobre pozycie cóż powiedzieć o świeżych, dzisiejszych, gdzie niestety więcej jak kiedykolwiek kojarzą się stadła na prędcę, bez dostatecznego wzajemnego poznania się, oparte głównie na zabezpieczeniu bytu?! Takie też później i pozycia i małżeństwa ta-

kie w krótkim czasie stają się adeptami cynicznego Francuzkiego przysłowia: „*Il'y a deux beaux jours, dans la vie de l'homme, l'un, ou l'on se prend, l'autre ou on se quitte.*”

Dziś kierowanie się uczuciem serca, silnym, czystym, niezachwianym, na drugim zwykle stawia się planie, na pierwszym byt, zapewnienie sobie losu o ile być może najświetniejszego pod względem materjalnym.

Dziś każda młoda osoba w myślach o związkach matrymonjalnych, przedewszystkiem marzy o domu, gdzie będzie panią niezależną, otoczoną sługami i o tem że się będzie mogła ubierać podług mody (pod tym względem żyda wolałaby zabić każda jak to mówią, aniżeli, na jotę od prawideł mody odstąpić) a potem dopiero że będzie kochać męża i moralną słodycz czerpać z pożycia.

I dla bytu i tych *rozsądnych a praktycznych* w przyszłości widoków, poświęcić gotowa uczucia najdroższe.

Słowem naprzód rozum, a potem serce.

Cóż to dopiero mówić o mężczyznach, w których strona uczuciowa nierównie słabszą odgrywa rolę od kobiet?!

Dla tego też w naszych czasach i w mojej nawet okolicy, w nowych i niedawnych małżeństwach rozpowszechniły się rozwody, porzucania mężów, a nawet wzajemne zamiany żon i mężów z całym cynizmem dokonywane.

Wracając jednak do starych i dawniejszych nieco stadeł, z tych prawdziwie dobrych, wiernych i kochających się, mógłbym na palcach policzyć i jest ich bardzo szczupła cyfra, co do innych zaś, to albo mąż maltretuje żonę i jest despota, albo też żona *hic muljer* zawojowała męża i stał się najobrzydliwszym pantoflem.

Co do tych ostatnich znałem ich kilku w życiu i zawsze zastanawiałem się nad powodami tej słabości charakteru, boć nieraz byli to ludzie zkadinnad energiczni dawni wojskowi, silnej woli i charakteru, którzy się tak bezwzględnie aż do poniżenia siebie poddawali pod jarzma kobiece i to bez żadnej na pozór racjonalnej przyczyny.

Wprawdzie przychodził mi zaraz na myśl nasz Sobieski bohater pogromca Turków, oswobodziciel Chrześcijaństwa który wiadomo jak swój Marysience ulegał i fajki przed

nią palić nie śmiał, a przez to utrwał prawdziwość przysłowia: „My rządzą światem a nami kobiety,” jednakże nigdy pojąć nie mogłem téj służalczej uległości podobnych mężów, ujmę swęj godności przynoszących.

Podobny egzemplarz mam niedaleko siebie.

Jest nim *Pan Major Wincenty*, dawny żołnierz, sławny kiedyś odwagą i zimną krwią w boju, człowiek ze wszech miar znaczny i uczciwy, który ożeniwszy się, zupełnym i bezwarunkowym został swęj połowicy pantoflem. Badałem nieraz tego przyczynę i nigdy nic dojść nie mogłem.

Gdybyć to jeszcze było dla kogo, ale Pani Majorowa nigdy dawniej nie mogła być przystojną, a dziś była to straszna, kolosalna, ogromnej tuszy baba, z czarnym na wierzchniej wardze zarostem, śniada z małemi ruchliwemi o złośliwym wyrazie oczami, z głosem grubym prawie męzkim, ograniczona, szorstka w obejściu, manjer ordynaryjnych, skąpa nadwyzczaj, bijąca i łajająca sługi nieustannie; mało co młodsza od męża, więc ani wdziękami, ani rozumem i wychowaniem, ani posagiem, bo ten bardzo wniosła

nie wielki, nie mogła mu nigdy imponować i rościć prawa do wpływu jaki nad mężem posiadała. Było widzieć Majora przy niej w domu u siebie, był to przygnębiony, zafukany, musztrowany co moment i wystraszony człowieczyna, bojący się nawet mówić głośno i śmiało przy żonie, posłuszny, unizony dla niej i jej myśli prawie zgadujący—gdy znów był sam bez żony, gdzieś w sąsiedztwie innym zupełnie stawał się człowiekiem, postać mu się prostowała, twarz wyjaśniała, mnóstwo żartów i conceptów miał na zawołanie, mówił śmiało, głośno i rezonował o rzeczach rozsądnie i praktycznie.

A trzeba wiedzieć, że o ile Pani Majorowa była skąpą, nie lubiącą towarzystwa i niegościnną, o tyle Pan Wincenty lubił kompanijki szczególnież męzkie, pohulanki, gościnnym i serdecznym a przyjacielskim był z natury i gdyby mógł, wcale by sobie grosza na zabawę i wesołe życie nie żałował.

Można sobie wyobrazić co cierpiał biedny Pan Wincenty z tém swoim usposobieniem, gdy mu żona podobnym obejściem wystraszała gości z domu, pieniędzy nie dawała

i nie pozwalała nawet jeździć samemu w sąsiedztwa i tam się z przyjaciółmi zabawieć.

Jeśli się czasem wymknął gdzie do sąsiada pod pretekstem interesu do miasteczka, do Powiatu, lub Kancellaryi, a żona się potem dowiedziała że wstępował w odwiedziny, miałaże potem biedak od Jójmości za swoje.

Rzadko kiedy bywałem w *Gruszyńcach*, wiosce Państwa Majorostwa, bo nie lubiłem Pani Majorowej, jój skąpstwa, obchodzenia się z mężem, niegościnnosci i wcale nie ujmującego zachowywania się z gośćmi ich dom odwiedzającymi; on zaś miał wielką u mnie sympatją i gdy się czasem do mnie wymykał, musiałem go tam przecież kiedy niekiedy odrewizytować.

Gdym zajechał przed ganek, wyszedł do mnie naprzeciw Pan Wincenty i serdecznie i z radością powitał.

Był to wysoki, już przeszło 60-cio letni mężczyzna pochylony, o twarzy czerwonej wojskowej, z bujnemi wąsami siwiejącemi w dół spuszczone i z oczyma jakby przy-

mglonemi, ubrany w szarą kaptotę opiętą, z dużym czarnym halstukiem aż na brodę zachodzącym, a tak w całej jego postaci, jako i w twarzy znać było przygnębienie, przybicie i to jarzmo ciężkie jakie znosił od swej połowicy.

— Jak się masz, jak się masz przyjacielu! a przecież przypomniałeś mnie sobie *do stu karrabinów*... no chodźże do chałupy."

I weszliśmy z sieni do bawialnego pokoju skromnie, lecz z największą drobiazgową czystością utrzymanego.

To tylko jedno na pochwałę szanownej połowicy Pana Wincentego można było powiedzieć, że dom cały, nie wielki, stary już, skromnie i przyzwoicie umeblowany, utrzymywała w największym porządku i czystości, to też biada była mężowi, a nawet i gościowi ostra się czasem dostała przymówka, gdy co przypadkiem naśmiecił, naniósł błota, rozrzucił co na stole popiół z fajki lub cygara na podłogę popruszył, lub broń Boże splunął nie w kraszuarkę.

Gdyśmy weszli, Pan Wincenty zaczął zaraz cichszym i stłumionym mówić głosem.

— No siadajże, bardzom rad że cię widzę, cóż tam dobrego słyszać? bo to ja siedzę w domu jak w klasztorze.

I zaczęliśmy pogawędkę o różnych przedmiotach dotyczących naszej okolicy.

Niebawem drzwi spaczone od przyległego pokoju skrzypnęły i ozwał się głos gruby kobiety.

— „Wicek!”

— Jestem serdeńko — odrzekł Pan Wincenty i spiesznie podążył na zawołanie.

Ponieważ drzwi były spaczone i niedomykały się, a ściany cienkie i drewniane, zwłaszcza gdy Pani Majorowa miała głos gruby, a Pan Wincenty cicho mówiąc syczał dobitnie, mogłem więc swobodnie słyszeć ich rozmowę siedząc nawet dość daleko od drzwi.

— Kto to taki?

— To Antoni poczciwy...

— O! głupcze, u ciebie wszyscy poczciwi, pewno on taki poczciwy jak ten gałgan Roman, ... no a po co przyjechał?

— A no, z wizytą serdeńko.

— Z wizytą! także mi eleganty, włóczę się tylko nie siedzieli by to w domu i gospo-

darstwa nie pilnowali, a to jeżdżą gdzie się z komina kurzy, aby objeść, napić się...

— Ależ to Antoni serdeńko...

— Antoni Antoni! głupcze jakiś, to cóż? tylko nie ruszże zwyczajnym swoim konceptem i nie zatrzymaj go czasem na obiad, rozumiesz?, bo by *trza* dorabiać, bo co dwie gęby to nie trzy, a tu masła niema i ten huncwot Mordko nie przywozi, no! ruszaj, ja tam przyjdę.

Gdy wrócił Pan Wincenty, uważałem że był zaambarasowany.

Zauważyłem również że drzwi cokolwiek odstały, gdy powrócił i tak się zdawało jak gdyby ktoś podsłuchiwał.

— No! a może byś kochany sąsiedzie zapalił co, papierosika? fajeczkę? bo wiem żeś amator, mój dobrodzieju...

Znów dał się słyszeć głos:

Wicek!

— Jestem serdeńko i znów na zawołanie pośpieszył.

— Czyś ty gamoniu zwarzował żebyś go namawiał na fajkę? żeby mi zakurzył cały pokój! ani mi się waź mu dawać, jak ma

swoje to dobrze i to wyjść na ganek, a w pokoju mi nie swędzić.

— Ależ serdeńko kochanie, jeden papieros to nie zadymi, a ja się wstrzymam.

— Nie potrzeba gapiu, rozumiesz, zakazuję ci.

Gdy wrócił Pan Wincenty jeszcze więcej zafrasowany, już nie wspominał i nie powtórzył swęj próby co do palenia, ja téż nie nalegałem, widząc ambarass i przykrość biedaka.

Zaczęliśmy znów rozmowę przerwana, śród której Pan Wincenty zapomniawszy się zapewne, znów mnie zapytał.

— A możeś głodny kochany sąsiedzie? chciałbym... no może jaką przekąskę?..

— Dziękuję ci Panie Wincenty, jeszcze rano.

Tu znów ozwał się głos, ale z intonacją zdradzającą gniew.

— Wicek!

— Jestem serdeńko — znów podreptał biedny mężulo i usłyszałem.

— Czyś ty dziś zwarzował bałwanie jakiś?! czego ty go namawiasz na jedzenie, a mówiłam ci dopiero, trutniu...

— Ależ serdeńko może chociaż chleba, masła, bo tak nieładnie...

— Masła niema niedołego ty, słyszałeś com ci mówiła dopiero co, czy ja gadam do ściany, czy co? dopiero co bałwana przestrzegałam żeby go nie prosił na jedzenie a on swoje, niepotrzeba nic niedam, rozumiesz;? to prędjéj sobie pojedzie...

Gdy powrócił już téj materyi o przekąsce nieporuszał a zagadywał czém inném widocznie, wkrótce jednak ujrzawszy przez okno konie moje stojące około ganku znów się biedak zapomniał i zaczął:

— A cóż to konie tak retoryki słuchać będą, może odjedzie do stajni, mój dobrodzieju...

Tu znow ozwał się głos gniewliwy:

— Wicek!

— Jestem serdeńko — i gdy odszedł znów posłyszałem.

— Czy ty mnie gałganie jakiś na złość chcesz robić dziś czy co? czego namawiasz żeby konie do stajni odeszły he?

— Ale to ja tylko tak serdeńko mówię dla ceremonii i wiem że to do tego nie dojdzie...

— A zkądże ty gapiu możesz wiedzieć że nie dojdzie? a jakby na wszystko powiedział dobrze, to co? ej ty barania głowo!

Powróciwszy już nie nalegał o odesłanie koni do stajni, a szczerze zafrasowany, jak mógł tak miną nadrabiał, zagadywał i silił się na wesołą rozmowę.

Niebawém wtoczyła się z pończochą w rękę sama Pani, w ogromnym czepcu z czerwonymi wstążkami, w szlafrocisku wyszarzanym, pokrywającym niezgrabnie ogromne kształty kolosalnej jej figury; na mój ukłon odpowiedziała lekkim i niechętnym dygnięciem, a usiadłszy zdaleka, spieszenie pończochę robić zaczęła.

Rozmowa nasza była bardzo trudna i przerywana o pogodzie, o spodziewanych zbiorach, w czasie której Pani Majorowa tylko albo głową kiwała, albo: „tak i nie” odpowiadała, spoglądając czasem gniewnie na mnie i na męża, widocznie chcąc się doczekać rychłego mego wyjazdu.

Niebawém przerywając tę ciężką i niezabawną rozmowę zapytała nagle.

— Wicek, czyś ty wydał poślad jęczmienny dla drobiu dziś rano?

— Nie serdeńko... zapomniałem...

— Zapomniałeś? a mówiłam, to ruszaj mi zaraz, bo jeść co niemają, a ja tu z Panem trochę posiedzę.

— Natychmiast serdeńko.

I wzięwszy klucze i czapkę, wyszedł Pan Wincenty.

Pozostawszy z nią sam na sam jeszcze trudniej i ciężej było zawiązać rozmowę, siłłem się jak mogłem to ten przedmiot to ten poruszając.

W tém drzwi od sieni skrzypnęły i wsunął się żyd w chałacie.

— A ty tu czego? — ostro i gniewliwie zapytała.

— Ja to do Jegomości mam enteres...

— No gadaj co masz za interest?

— E! to ja tylko do Pana Majorze mam enteress — jemu tu nima? i to mówiąc chciał się cofnąć.

— Gadaj mi zaraz co masz za interest? — powstając i postępując ku żydowi, mówiła groźnie Pani — Jegomość, a ja to wszystko jedno, rozumiesz?

— Ja psijechałem tu po groch co Jego-

mość sprzedał — odrzekł wylękniony tym jej ruchem żyd.

Jaki groch?..

— Co wun sprzedał temu dwa tygodnie w mieście, ja dał pyniądzów wszystkich i na dziś wun termin obiecał.

— A! to pięknie, groch sprzedał i nic mi nie mówił a po czemu sprzedał i wiele?

— Nu! po 4 ruble, 10 korców...

— A marnotrawca! a tyś szachraj, dziś groch po 6 rubli, nie dostaniesz grochu.

— Nu kiedy ja zapłacił i ja mam jego kwit...

— A to coś nowego, no proszę, rządzi się jak szara gęś, marnuje produkta!..

Tu nadszedł Pan Wincenty, a ujrawszy żyda, zmięszał się widocznie.

— Co to za groch sprzedałeś? — stając przed mężem groźnie i sapiąc od gniewu zapytała małżonka.

— A no sprzedałem serdeńko... bo trzeba było...

— Trzeba było na hulankę marnotrawniku ty! — ciszej lecz dobitnie mówiła — pewnie na hulankę z Panem Romanem i jeszcze tak zmarnować po 4 ruble groch...

— Ja ci rachunek podam serdeńko...

— Pokaż zaraz, ciekawam bardzo — i zaperzona i sapiąca wyszła z pokoju, za nią podążył Pan Wincenty, a wkrótce s'y chać było jój głos gniewny i łający.

Biedny Major, był w opałach.

Gdym pozostał z żydem, ten zaczął wzdychać, cmokać ustami, wreszcie odezwał się:

— Aj waj! jaka wuna zła, a wun się jój boi, wuna jego tak krótko trzyma, żeby ja wiedział że wuna o tym grochu nie wie, to ja by nie kupował, a teraz może wuna nie zechce wydać grochu.

— E! wyda nie turbuj się.

— Pewnie że wyda, ale wuna jemu za to przylepi aj waj! takie złe kobiecie, szkoda jemu, bo on dobry i *honoralny* człowiek!

Gdy powrócił Pan Wincenty był cały zalterowany a odwracając się do żyda uspokoił go że mu groch każe wydać, tylko dodał „Pani dla tego się gniewała żem tak tanio ci sprzedał, no ale już przepadło.”

Widząc tak zafrasowanego Pana Wincen- tego pożegnałem go niebawem, nie widząc się już z uprzejmą gosposią, której głos łający, w drugim końcu domu się odzywał i od-

jechałem żalując tego ze wszech miar pocziwego człowieka i deliberując nad tém jakie są powody do tak upakarzającej jego uległości dla téj kobiety złej, bez wychowania i za którą ani odrobina dobrego nie przemawiała.

Przejeżdżając kiedyś z powiatowego miasteczka do domu, przez wieś *Wytrębie*, majątność *Pana Romana* dobrego mego znajomego, postanowiłem przejechać mimo, nie wstępując (choć się wstąpić należało bom go już dawno nie odwiedzał), a to z téj przyczyny, że obawiałem się natrafić na zwykle u niego towarzystwo biboszków i być zmuszanym do częstych i niepomiarowanych libacyi winnych.

Dojrzał mnie wszakże z okna dworu gospodarz, bo droga po pod samym prowadziła dziedzińcem i zaczął wołać i ręką machać natarczywie.

Nie było rady, wstąpić musiałem.

Zastałem tam jak zwykle kilku jego najserdeczniejszych, a tęgich do kieliszka zapasników, a zarazem i Pana Wincentego, grają-

cych w karty, wesoło i głośno rozprawiających i popijających Węgrzyna, po którym już kilka wysuszonych butelek, stało pod stołem

Pan Roman był to wielce miły i sympatyczny człowiek, tylko hulaka i birbant, które to usposobienie dziś pomimo lat 50-u wcale go nie porzucało i tak samo jak za lat młodych w najlepsze się objawiało.—Zwano go powszechnie *starym lwem*. I rzeczywiście ładnie był wychowany, wykształcony, *complaisant* nadzwyczaj *pour les dames*, pomimo pięciu krzyżyków już skończonych, dobrej tuszy i łysiny, nadzwyczaj starannym był o swą powierzchowność, a ubiór jego wyszukany i elegancki, najskrupulatniej zawsze do wymagań mody zastosowany, był wzorem do naśladowania u młodych okolicznych elegantów. Gaduła był z niego wielki, często dowcipny, jeszcze kochliwy i przewracający do płci pięknej oczy, chodził zawsze z gracją, stawiając małe swe nóżki jak baletnik na scenie przygotowywujący się do skoków i *entrechats* rozmaitych, i w każdym swoim poruszeniu i pozie, starał się pokazać grajcznym, giętkim i szykownym.

Największą, najzaciętszą nieprzyjaciółką Pana Romana w okolicy, była Pani Majorowa, a to z téj przyczyny że się dowiedziała i nawet sama przekonała, że buntował przeciw niej jéj małżonka i rzeczywiście przyjaźniąc się od dawna z Majorem jednych z nim będąc usposobień, pod względem amatorstwa wesołego życia, nie mógł mu darować tego pantoflarstwa i uległości i gdy tylko mógł monitował go, wbijał w ambicję i do stawania jeżem względem Jejmości podmawiał. Gdy się o tém Pani Majorowa dowiedziała, a podobno nawet podsłuchiwała, zrobiła scenę w domu, męża wyłajała, zakazała przyjmować w dom Pana Romana a zarazem zapowiedziała aby się mąż nie ważył go odwiedzać i unikał go o ile można.

Zobaczywszy więc w Wytrębach Pana Wincentego, domyśliłem się że się tu znajdował sposobem kontrabandy i że ta wizyta jego w największej tajemnicy przed Jejmością ukrywaną będzie.

Ale jakże innym znalazłem tu Pana Wincentego! Zupełnie niepodobnym był do zwykłego przygnębionego Majora.

Postać jego wyprostowana, ruchy śmia-

łe i pewne, twarz ożywiona i uśmiechnięta, wasy do góry z fantazją podwinięte, odmłodniał zdaje się o lat kilkanaście, na ustach żarty, koncepta i piosneczki rozmaitego rodzaju, któremi co moment przeplatał grę w Preferansa, którą lubił nadzwyczaj.

Gospodarz i goście pociągali powoli Węgrzyna, rozumie się że się nieobeszło aby mnie nie zmusili do kilku kieliszków za rozmaite zdrowia wzajemne, od czego wymówić się było niepodobna.

Rozmowa toczyła się wesoła, ożywiona, przeplatana konceptami i piosnkami Pana Wincentego.

Oto właśnie odrzucając w grze karty przyspiewywał:

„Ona do mnie, a ja do niéj.

„Ja uciekam, ona goni,

„A ja do niéj jak kogucik

„Ona do mnie, a ja *ucik*”

— Toż to i nieszczęście — ozwał się gospodarz — że to tak zawsze z żoną twoją, że jak ona do ciebie, to ty *ucik* i stulił uszy, to to i biéda...

Ale ba! *do stu karrabinów*, nie zawsze nie zawsze.

— U ciebie zawsze *penitentja et obedjentja* dla Jejmości jak w klasztorze, ale co tobie mówić mój głos, to *Vox clamantis in deserto*.

— Ale ba! *do stu karrabinów*, czekaj no to ci odpowiem sentencją starą, którą w księdze mego Ojca znalazłem.

— „Dodaj dwa sprzeczne serca przez małżeństwo. To ci wypadnie męczeństwo.”

Ale chcąc widocznie odwrócić przedmiot rozmowy, wskazując na mnie oczami, rzekł:

— Gospodarzu, a należy się jego zdrowie.

— *Bon*, natychmiast, zdrowie kochanego naszego Antoniego Panowie! — zaintonował gospodarz.

Uściskał mnie przytém Pan Wincenty i wychylono moje zdrowie, za które rozumie się podziękować musiałem.

— Bodaj to być w gronie przyjaciół, jak honor kocham *do stu karrabinów*, człek młodnieje — zaczął Pan Wincenty.

— A nie mówię ja ci tego zawsze? — odrzekł gospodarz — to i czego żeś się dał tak Jejmości osiodłać i wędzić? trzyma cię

w więzieniu i nikt u ciebie przez to nie bywa a ty boisz się zajrzeć do kogo, tfy! do licha, takie życie, to śmierć!...

— Masz rację *do stu karrabinów*...

— Masz rację, tak tu mówisz, a jak wrócisz to znów swoje po dawnemu, ręczę że nawet taić będziesz przed żoną, żeś tu do mnie dziś wstąpił, bo wiem że ci surowo zakazała.

— Wiesz co? — śmiejąc się mówił Major — zrobię babie psikusa, jak wrócę a spyta „gdzieś był” powiem obojętnie... w Wytrąbach i kwita, ha ha ha! i co mi zrobi hę?

— Błogosławione byłyby twe słowa, ale wątpię — kręcąc głową odrzekł Pan Roman.

— O! *do stu karrabinów*, co znowu?! — z oburzeniem na to jego niedowierzanie zawołał Major.

— Nie długo, to cię uwędzi jak śledzia — ciągnął dalej swoje gospodarz, zagłodzi cię, ususzy, już można powiedzieć że cię do *chłodnej* wsadziła, ale tak to pfe! nieładnie dla ciebie, tyś żołnierz, człowiek honorowy, towarzyski, tobie jak wody dla ryby, jak

powietrza dla ptaka, potrzeba ludzi potrzeba ci żyć.

— Masz rację *do stu karrabinów!* — zapalając się i uderzając ręką w stół mówił Pan Wincenty — dla mnie przyjaźni, koleżeństwo, to życie... ale czekajcie! — mówił powstając. — „Baba moja we Czwartek wyjeżdża do Lublina na dni 4, otóż abyśmy byli swobodni, proszę was tak jak tu jesteście do siebie na Piątek wieczór na lampkę i Preferansika, co będzie to będzie, ma być kwaśno *do stu karrabinów*, niech będzie ale *trza* to raz przełamać... ”

— Dobrze, zgoda — odrzekł gospodarz i inni.

— Panie Antoni — zwrócił się do mnie Mojon gdy milczał — toż przyjacielem moim jesteś od serca *do stu karrabinów* i spodziewam się że także nie odmówisz, dajcie mi słowo drodzy przyjaciele i koledzy, że tak jak jesteście w komplecie, przybędziecie do mnie, bo kto nie będzie, wrogiem moim się stanie...

— Wiwat Wincenty! — zawołał gospodarz — zaczyna się rehabilitować, tak to lubię, zdrowie jego!..

Musieliśmy więc dać słowo że przybędziemy i wypiliśmy jego zdrowie, po czém poczciwy Pan Major wyściskał nas kolejno z oświadczeniami przyjaźni dozgonnej i znowu nam kieliszkiem podziękował.

Już było ciemno, gdyśmy się rozjeżdżali. Pan Wincenty widoczną miał ochotę zostać jeszcze, ale uważałem że niespokojnie na zegarek zaczął spoglądać, wahał się, wreszcie gdym także pozostać nie chciał, zaproponowałem mi że ponieważ w jedną stronę jeszcze milę jechać będziemy, ażebym dla pogawędki usiadł na jego bryczkę, co też i uczyniłem.

Większą część drogi do Gruszyniec, bo tamtędy droga mi do domu wypadła, Pan Wincenty w najlepszym humorze gawędził, pośpiewywał, conceptami szafował, w miarę jednak zbliżania się do domu, zauważyłem, że jakoś smutniał, co raz mniej stawał się mownym i wzdychał nawet niekiedy i gdyśmy już byli niedaleko wrót dziedzińca, ozwał się do swego *Bazyła* furmana węsali, a dawnego wiarusa, który kiedyś pod nim służył.

— *Bazyl wiarra!*

— Słucham W-go Pułkownika” — nie odwracając się i przykładając rękę do czoła odrzekł węsala.

— A jak przyjedziem i będą się rozpytywać gdzieśmy byli, to powiedz że w mieście, o Wytrębach ani mrumru, rozumiesz?!

— Rozumiem W-y Pułkowniku — spluwając i jakoś niechętnie odrzekł furman.

— A może sąsiad do mnie wstąpisz? — nieśmiało zapytał.

— O! już późno.

— No! to do widzenia, a o piątku pamiętaj — znacząco i ciszej dodał i rozstaliśmy się.

Po tém ostatniem zachowaniu się Pana Wincentego, poznałem, że zmiękł znowu i że go ta determinacja i odwaga jakimi był w Wytrębach natchniony, opuszczać powoli zaczynała.

W Piątek o naznaczonej godzinie, stawiliśmy się wszyscy w Gruszyńcach, w komplecie.

Pani rzeczywiście nie było.

Gospodarz był nam bardzo rad, ożywio-

ny i promieniejący, krzątał się po domu, wydając polecenia i przyrządzając ze służbą rozmaite traktamenta.

Znać było jednak w służbie, która się składała z *Maćka* posmolonego wyrostka, *quasi* lokaja w spancerku z dziurawymi łokciami i gapiowatą twarzą, z Bazyla furmana i starej szafarki — że się nie mogli opamiętać, co to się stało. Rozkazy Pana wypełniali wprawdzie, ale jakoś wahająco, kręcąc głowami i mrużąc pod nosem, a stara szafarka półgłosem dogadywała:

— Reta, co to się dzieje!, jak się Jejmość dowie, toż to nam wszystkim się dostanie.

Pan Wincenty widząc te wahania się służby i słysząc te pomrukiwania wołał:

— No! *do stu karrabinów*, cóż tam tak szlamazarnie robicie? nie pytać się, nie rezonować, a robić to co ja każę!

W saloniku przyrządzonym był stolik do kart, stało kilka butelek wina z kieliszkami, leżały papierosy i tytoń, a goście nie zważając na podłogę i sprzęty, wysypali popiół na ziemię, soplwali nie w kraszuarękę i dymem zaciemniali pokój, który wrzał

wesołemi odgłosy rozmów. Zapewne od niepamiętnych czasów a może i nigdy w tym pokoju tak gwarno i wesoło nie było.

„O! gdybyć to widziała P. Majorowa, dałaby tu ona nam wszystkim!” pomyślałem sobie.

Niebawem gospodarz, Pan Roman i dwaj jego sąsiedzi Pan Dezydery i Florjan tędzy do kieliszka, również wesołego usposobienia i dobrzy wogóle ludziska, zasiedli do kart, ja zaś byłem przypatrującym się grze.

Gdy przy nalanych kieliszkach stojących przed każdym z nas, tak gospodarz jak goście w najlepszych będąc humorach swobodnie i wesoło gwarzyli, wyczekując na herbatę, którą przyrządzano w drugim pokoju, nagle zaturkotało przed gankiem i równocześnie prawie wpadł Maciek do pokoju, płaczkliwym wołając głosem:

— Pani przyjechała!

Pan Wincenfy drgnął całą figurą, myśmy się zmięszali, tylko Pan Roman nie tracąc fantazyi, zaczął szeptać Majorowi:

— To nic nie szkodzi... nie mięknij, proszę cię, przecież jesteś człowiekiem honoru, bądź Panem w domu a gościom swym przecież nie daj ubliżyć.

Uspokoiły cokolwiek te wyrazy Pana Wincentego chociaż był widocznie wzruszony i odrzekł:

— *Do stu karrabinów*, przecież wam tu moim gościom nie dam ani na jotę ubliżyć!

W tej chwili wtoczyła się ogromna postać Pani Majorowej w salopce i kapeluszu dawnego jeszcze kroju, z dużem powiewającym piórem a stanawszy przed nami grubym ozwała się głosem:

— A toż to znowu? cóż to za kurdygarda? pfe! co za dym!..

Skłoniliśmy się wszyscy, Pan Wincenty niby w karty oczy miał wlepione i nie ruszał się, ona łysnąwszy na nas wszystkich zjadliwem spojrzeniem, na nasze ukłony nie raczyła i głową kiwnąć, a tylko mruknawszy: „zwarjował czy co?” — posunęła się do drugiego pokoju i drzwi za sobą z trzaskiem zamknęła.

Niebawem usłyszeliśmy, biegania, stukania po całym dworze i głos jój gruby a łąjący w różnych punktach domu się odzywający.

Po chwili drzwi skrzypnęły i ozwał się głos jój gruby z intonacją pełną oburzenia.

— Wicek!”

— Nie ruszaj się z miejsca kiedy ci Bóg miły—szeptał Pan Roman, gdy Major z przyzwyczajenia zapewne drgnął i chciał do żony pośpieszyć — nie przerywajmy gry, niech ona do ciebie przyjdzie.

Posłuszny Major został na miejscu.

Po chwili znów ozwał się głos.

— Wicek, czy ty dziś przyjdiesz czy nie? — ale już z widoczném drzeniem od wielkiej passyi.

— Nie chodź, powiedz że nie masz czasu,

— Nie mam czasu! — głośno i z determinacją odrzekł Pan Wincenty.

— Poczekaj trutniu! — była odpowiedź.

— To nic, to nic, nie zważaj na to — podmawiał ciągle Pan Roman — każ podawać herbatę.

— Hej! Maciek, Bazyl, podawać herbatę! — zawołał gromkim głosem Major.

— Aha! będziesz ty miał herbatę, dam ja ci! — mruzczała w swoim pokoju małżonka i znowu głos jęj łający przeniósł się na drugi koniec domu.

— Podacie wy dziś herbatę? hej Maciek! Bazyl! *do stu karrabinów* — powstając i wy-

chodząc do sieni jeszcze głośniej zawołał Pan Major, gdy się nikt nie pojawiał.

Na to wołanie przybiegł wystraszony Maciek i zaczął jękać się:

— Kiedy proszę Jegomości... Pani wszystko... znowu pochowała... i nie kazała nic dawać...

Tu powstał Major zaperzony i zawoławszy: „a dość już tego” — zamaszycie do drugiego wszedł pokoju, gdzie znowu powróciła jego małżonka stanowczym głosem przemówił:

— Klucze do szafy i lochu.

— Aha będziesz ich miał trutniu jakiś, ty hulako! marnotrawniku! ja wiedziałam że to tak będzie i dla tegom tak znienacka przyjechała...

— Dawaj *do stu karrabinów* — tupnąwszy nogą i głośniej zawołał.

— Nie dam, ty ty jakiś... ruszaj precz...

— Hej! Bazyl! Maciek! — wrzasnął Major, przynieść mi tu siekierę, odbijać, ja tu będę ceremonję z tobą robił *do stu karrabinów!* wołać mi ludzi więcej!.. — i zaczął zamaszycie chodzić i zwoływać ludzi, a wzięwszy

kij sekaty grożąc aby śpiesznie jego rozkazy wypełniali, na serjo zaczął się brać do dzieła.

Baliśmy się aby tego wzruszenia nie przypłacił zdrowiem, bo był bardzo czerwony, krew mu uderzała do głowy, a gniew jego i wzburzenie rzeczywiście były wielkie.

Gdy przybiegł Bazyl, Maciek i kilku fornali, z gorączkowym pośpiechem kazał odbijać szafę.

Bazyl jakoś najchętniej brał się do tego.

Podczas tej operacyi Pani Majorowa czy rzeczywiście wystraszona, czy też nie chcąc być świadkiem swego upokożenia, wyniosła się gdzieś z pokoju. I wkrótce z odbitej i połupanej prawie szafy, sam Pan Wincenty drżącemi rękami zaczął dostawać cukier, herbatę, szklanki i t. p. — następnie poszedł z ludźmi do lochu i tam niebawem usłyszeliśmy stukanie z odbijanych drzwi zapewne, i wkrótce powrócił, niosąc sam kilka butelek wina.

— Ot tak to cię kocham, to dobrze — mówił Pan Roman i znów niby grę zaczęto, która rozumie się szła nie wiedzieć po jakiemu, bo Pan Wincenty był niezmiernie wzruszony i oburzony, tak że ledwie mógł mówić.

Podano jednak herbatę i winem znów gospodarz gości częstował.

Pani Majorowa znów powróciła do swego pokoju i na inny wzięła się sposób, bo wkrótce usłyszeliśmy jej płacz spazmatyczny i krzyki: „aj! aj! aj!”, a głos jej z cienkiego w gruby przechodząc był strasznym.

— To nic, to spazmy, przejdzie to — szepnął Pan Roman — każ wodą na nią prysnąć, ale nie sam, nie sam, niech Maciek to zrobi.

— Maciek, weź wody zimnej w szklankę i prysnij na Panią parę razy — ozwał się Pan Wincenty do chłopca roznoszącego herbatę.

Maciek wzięwszy szklankę wody z wahaniem i ostrożnością podszedł i rozkaz Pana wypełnił.

Równocześnie posłyszeliśmy stuk i mocne kłapnięcie w przerwie spazmatycznego płaczu, a głos naturalny Pani Majorowej zagrzmiął:

— A! ty trutniu jakiś, będziesz mnie wodą zlewał?!...

I ujrzeliśmy wybiegającego śpiesznie z po-

koju Maćka trzymającego się za twarz i wołającego: „aj! aj! aj!”

— No to nic, to nic — szepnął Pan Roman — widać że zdrowa i silna, kiedy go tak uczęstowała.

Po chwili znowu ozwały się jej płacz i wyrzekania. Pan Wincenty powstał i drzwi przytknął, abyśmy mogli mniej słyszeć tego, co szanowna Jejmość tam wyrzekała i wygadywała, bo rzeczywiście powtórzyć tu trudno, jakie klątwy i obelgi miotała na męża i na nas przybyłych.

Po herbacie Pan Wincenty zawołał Bazyla

— Bazyl *wiarra!*

— Słucham W-y Pułkownika, — znów podnosząc rękę do czoła i prostując się odpowiedział wiarus.

— Naprzód wołać mi Burkackiego, a następnie, zaprzężesz do bryczki i zajedziesz.

— Dobrze W-y Pułkownika!”

— Darujcie kochani koledzy — mówił dalej zwracając się do nas — za tę niemiłą niespodziankę, jako pomimo méj woli macie w moim domu, otóż abyśmy byli swobodni i weseli, jadę do ciebie Panie Romanie na

czas nieograniczony, tam się będziemy swobodnie mogli bawić i gawędzić.

Uściskał za to Majora Pan Roman mówiąc: — Otoś mi człowiek, ot tak to lubię.

Gdy wszedł Ekonom Burkacki, ogromny obrosły jak niedźwiedź mężczyzna, Pan Major stanowczym ozwał się głosem:

— Panie Burkacki, ja jadę do Wytręb, proszę mi tu bez mojej wiadomości i zezwolenia nic nie wydawać, nic nie sprzedawać, krom to co na expens domowy potrzeba, rozumiesz *do stu karrabinów?! Rachunki* robić i jeżeli Pani zażąda pieniędzy nie dawać, dopóki ja wiedzieć nie będę, rozumiesz? a z rachunkami i relacją przyjeżdżać co trzeci dzień do Wytręb.

Burkacki z otwartą gębą i widoczném zdziwieniem wysłuchał tego i odrzekł ochrypłym głosem:

— Dobrze *przez urazy* W-y Pułkownika.

— Jesteś także wiarus i znasz rygor, to com powiedział proszę co do joty spełnić bo *do stu karrabinów!...*

— Dobrze *przez urazy* W-ny Pułkownika” — już z większą pewnością odrzekł Ekonom i zrobiwszy lewo w tył odszedł.

— To także wiarus — wtrącił Pan Roman — i taki tęgi jak lew, a jednakże jest także uniżonym służką swęj połowicy, która go za nos prowadzi.

Maciek słysząc dyspozycje dawane Burkackiemu, zbliżył się teraz do Pana Majora i całując go w rękę z płaczem zaczął:

— Niech i mnie Jegomość weźmie, bo ja tu nie zostanę Pani by mnie zabiła, ... będzie się mścić... i mizerować... ja tu nie zostanę...

— No no, dobrze pojedziesz, *do stu karabinów!*

Wychyliwszy jeszcze kilka kieliszków wina, razem zaczęliśmy się rozjeżdżać.

Pan Major z Romanem siedli na jedną bryczkę, za niemi podążyli dwaj sąsiedzi, ja zaś do domu wróciłem, winszując w duchu Panu Wincentemu że już pierwsze lody przełamał i na właściwem stanowisku Pana w domu, się utrzymał.

Niedługo po tém, dowiedziałem się o następującym przebiegu owego zajścia między małżonkami.

Gdy Pan Wincenty bawił ciągle u Pana Romana w Wytrębach, a Burkacki według dyspozycji wolę jego wypełniał, z rachunkami przyjeżdżał, i nic bez jego wiedzy nie wydawał, zmiękała jakoś małżonka i widząc że nic złością i uporem nie wskóra, a znając dobre serca swego męża, uderzyła w niepraktykowaną dotąd czułość i pokorę.

Jakoż napisała do niego list czuły, przepraszący, przyrzekający w niczem mu się nie sprzeciwiać i woli mu nie krępować i zaklinający aby powrócił, gdyż oprócz tego, że rozłąka tak jest przeciwną przepisom Religii, to nadto jeszcze opinja publiczna może ich oboje słusznie potępiać i poniżać.

Wiedziała przebiegła baba, że tym sposobem najprędzej trafi do poczciwego serca swego małżonka, który rzeczywiście po odebraniu tego listu rozczulił się, rozplakał i do domu powrócił.

Będąc teraz pewnym innego położenia rzeczy w Gruszyńcach, innego między małżonkami pożycia i zmiany na korzyść Pani Majorowej, postanowiłem ich odwiedzić.

Było to już wieczorem i światła w oknach dworu gdzie niegdzie błyskały.

Gdym zajechał przed ganek, wyszedł do mnie Maciek.

— Są Państwo w domu, to jest głównie czy Pan jest? — zapytałem.

— A ot nie wiem... — drapiąc się w głowę odrzekł — pójde się zapytać...

— Jakże byś ty nie wiedział czy jest Pan?

— A kiedy... ot niewiem" — i odszedł. Zadziwiła mnie ta jego odpowiedź.

Po chwili wrócił z oznajmieniem jakimś wahającym:

— Niema Pana...

— A gdzie?

— Nie wiem, gdzieś wyjechał... i niema...

Po wahaniu jego i odpowiedzi domyśliłem się że Pan jest, tylko przyjąć nie chce, ha! więc zabieram się do odwrotu, a zobaczywszy światło w jednem narożnem oknie, podszedłem tam, bo mi się nawet zdawało że mignęła mi sylwetka figury Pana Majora.

I rzeczywiście ujrzałem w pokoju, Pana Wincentego siedzącego na krześle, zgarbionego i przygnębionego jak dawniej i Panią Majorową rezolutnie i grubo rozprawiającą.

Słyszeć mogłem wszystko za oknem, bo ściany dworu były drewniane i popaczone.

— Może ty byś chciał trutniu jakiś, znowu kompanijkę taką przyjmować i takie sceny wyprawiać?..

— Ależ serdeczko to Antoni, on nic nie winien...

— Nie lepszy on od Romana i innych, nie potrzeba a zresztą jak raz i drugi powie się, że cię niema w domu, to się odczepią i nie będą najeżdzać, darmożjady...

Ze ściśnioném sercem podsłuchawszy urywku tej rozmowy, odjechałem, poznawszy że rzeczy wróciły do dawnego *statu quo* i cała ta rehabilitacja i to otrząśnięcie się tyle Pana Wincentego kosztujące było * tylko chwilowém i nadaremniém.

Biedny Pan Wincenty!

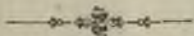
Niewytłumaczona słabość charakteru.

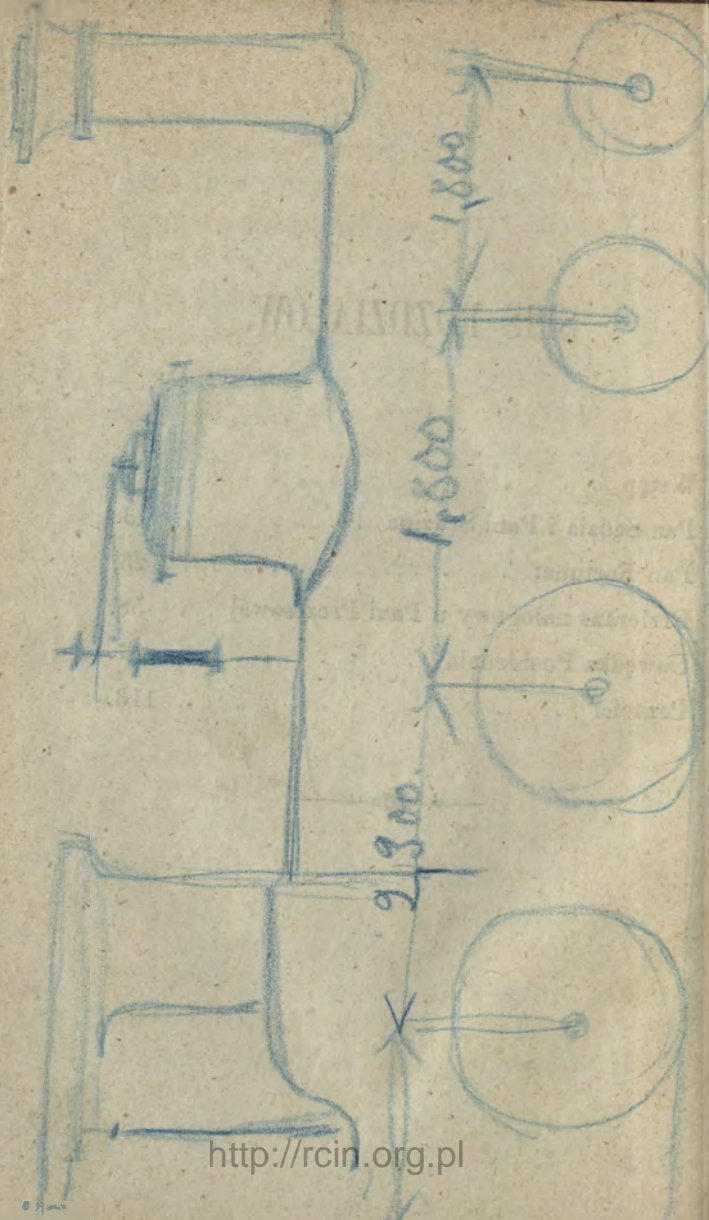
K O N I E C.




SPIS ROZDZIAŁÓW.

| | str. |
|--|------|
| Wstęp | V. |
| Pan Sędzia i Pani Sędzina | 3. |
| Pan Fortunat | 23. |
| Preferans nałogowy u Pani Prezesowej . . | 58. |
| Gawędka Poobiednia | 87. |
| Pantofel | 113. |







1865

1866